

# Demokrata

ORGAN • NARODOWO • SPOŁECZNEGO • RUCHU • MŁODYCH

Nr. 6

Toruń, w maju 1935

Rok I

JAN CHRONIEWSKI

## Pracownicy fizyczni i umysłowi.

Od dawna utarła się ta terminologia, różniająca robotników pracujących fizycznie od inteligencji utrzymującej się z pracy umysłowej. Rozróżnienie to odpowiada tylko częściowo rzeczywistości i z wolna traci coraz bardziej na znaczeniu.

Przedewszystkiem praca fizyczna robotnika, w całym szeregu zawodów, w pewnych swych czynnościach wymaga coraz więcej inteligencji i naprężenia uwagi, zaostrzenia obserwacji. Z drugiej znowu strony praca biurowa, nazywana umysłową, obejmuje dużo czynności męczących, ale nie wymagających większej inteligencji od przeciętnego pracownika, zatrudnionego pracą fizyczną.

Jeżeli zaś przejdziemy od zajęć zawodowych, dających utrzymanie pracownikom fizycznym i umysłowym, do życia społeczno-politycznego, to i tu zauważymy z łatwością, że różnica pomiędzy jednymi a drugimi zaciera się, a nawet więcej: częstokroć wypada ona na korzyść robotników.

Pracownicy umysłowi bowiem albo nie są wcale zorganizowani zawodowo i politycznie, albo bardzo słabo. Skutkiem tego chodzą, że tak powiem, luzem, a poglądy ich ciągle się wahają. Życie organizacyjne jest im obce. Nie bywają na zebraniach stale, nie walczą o przeprowadzenie swych postulatów. Dzielą się oni na dwie grupy: zależnych, a więc wszelkiego rodzaju urzędników państwowych, samorządowych i prywatnych, oraz samodzielnych — lekarzy, adwokatów, techników.

Pierwsi, u nas zwłaszcza, są pod strachem utraty posady, o ile chcą samodzielnie myśleć i działać, nie należąc do „sanacji“. Naogół nie dotyczy to pracujących w instytucjach prywatnych.

Drudzy, o ile są wolnopraktykującymi, posiadają swobodę ruchów. Ale nie są skupieni. Część ich tylko nieznaczna należy do czynnych członków stronnictw politycznych, ogromna zaś większość przekonania swe ujawnia tylko w czasie wyborów.

Nawet w dużych miastach naszych ta martwość inteligencji jest przerażająca. Weźmy dla przy-

kładu taką Łódź. Ludność jej dochodzi do 650 000 osób, jest tam dużo średnich zakładów naukowych ogólnych i zawodowych, oraz niższych. Istnieje tam mnóstwo prywatnych urzędników, wielu lekarzy, adwokatów, techników — a w rezultacie życie umysłowe jest nikłe, a co ważniejsze, nie posiada ono żadnych skupiających centrów i gubi się w ciasnych kółkach rodzinnych i bliskich znajomych. Wyjątkowo tylko występuje na zewnątrz.

Uwzględniając to wszystko zauważyć należy, że taki robotnik, należący do związku zawodowego i stronnictwa politycznego, będący czynnym członkiem tych organizacji — niewątpliwie stoi wyżej społecznie i intelektualnie (w zakresie spraw publicznych) od takiego tułającego się samopas pracownika umysłowego, który może częściej od niego pójść do teatru i więcej przeczytać utworów beletrystycznych, ale za to mniej wnika w sprawy polityczne i gospodarcze. Nadewszystko zaś odosobniony pracownik umysłowy jest pozbawiony śmiałości, nie czuje za sobą żadnej siły. Tymczasem obecnie trzeba właśnie odwagi, decyzji, organizacji i wnikliwości w to wszystko, co się naokoło nas dzieje. W braku tych cech pogrążyć się będziemy coraz niżej, upadać będziemy ekonomicznie, politycznie i kulturalnie coraz bardziej.

Nie można żyć tylko samą tradycją i liczyć na to, że ona nas uratuje od upadku. Każde pokolenie powinno dodatnią tradycję wzmacniać, uzupełniać i otwierać społeczeństwu nowe horyzonty.

Pracownicy umysłowi zbliżyć się powinni z robotnikami, powinni zrozumieć, że mają wspólne interesy.

Demokracja łączyć powinna te żywioły.

Słyszymy ciągle narzekanie na to, że ludzie kończący nawet wyższe zakłady naukowe nie mogą znaleźć zajęcia i głodują. Otóż zachodzi pytanie, czy istotnie mamy za dużo lekarzy, adwokatów, techników? Na pytanie powyższe trudno jest dać odpowiedź ściśle matematyczną, to jest stwierdzić, że dla tylu i tylu fachowców możnaby znaleźć tyle

i tyle miejsc. Jedno jednak można stwierdzić, że ogromna większość ich mogłaby znaleźć u nas zajęcie przy innych gospodarczo-politycznych warunkach.

Mamy za dużo lekarzy w większych miastach, ale za mało na prowincji. Mamy za dużo techników, ale dlatego, że fabryki stoją i nie prowadzimy robót publicznych, bardzo potrzebnych. Nie regulujemy rzek, nie osuszamy błot, nie przeprowadzamy kanałów i t. p.

„Demokrata“ wykazywał już w innych artykułach, że tu tylko wspomnę o jednym p. t. „Od czego zacząć“, zamieszczonym w Nr. 4, że możnaby prowadzić inną gospodarkę finansową.

Otóż przy ustroju demokratycznym państwa, czynionoby zadość potrzebom warstwom narodu. Gdyby tak było u nas, to nie ulega wątpliwości, że mnóstwo pracowników umysłowych znalazłoby zajęcie na prowincji w tym czy innym charakterze.

Potrzeba więcej szkół, więcej szpitali, lepszych dróg i t. d. Ale u nas wszystko odbywa się nie tak, jak potrzeba.

Warszawa niedawno jeszcze miała dwu wiceprezydentów, obecnie jest 5. Mamy wogóle istną inflację wysokich dygnitarzy! Za dużo jeździ urzędników do Genewy na te jałowe sesje, za wiele aut mają do dyspozycji nasi dygnitarze, za dużo jeżdżą... Wszystko to kosztuje ogromne sumy. Fundusze dyspozycyjne są za wielkie, stosunkowo znaczniejsze niż w innych państwach...

Tak więc, na gruncie ustroju demokratycznego, interesy pracowników umysłowych i fizycznych występują solidarnie. Solidarnie też walczyć powinni o jego zdobycie jedni i drudzy.

Trzeba walczyć, a nie ginać. Trzeba się zdobyć na wysiłek i ofiary. Trzeba wyjść z tej umysłowej gnuśności, w jakiej się znajdujemy!

IZA MOSZCZEŃSKA

## Partje i programy.

**W** czasach przełomu dziejowego, którego wynikiem było wskrzeszenie niepodległej Polski, wychodził we Lwowie tygodnik, którego redaktorka zaprosiła mnie do współpracownictwa. Zanim na tę propozycję dałam odpowiedź decydującą, prosiłam o wyjaśnienie, jaki jest program polityczny tego organu, gdyż dotychczasowe czytanie jego artykułów nie objaśniło mnie dostatecznie. Na to dostałam odpowiedź jasną i lapidarną: „Nasz program polega na tem: zwalczać endecję gdziekolwiek się da, kiedy się da i jak się da“.

Jakkolwiek w owym czasie jako zdecydowana aktywistka przeciwstawiłam się polityce endecji — oświadczyłam, że takiego programu popierać nie mogę; zmuszały mnie on bowiem do zwalczania samej siebie, w razie gdyby endecja w jakiejś ważnej dla mnie sprawie przyznała mi słusność i popierała mój punkt widzenia. Nie bardzo długo czekałam na tę okazję, która jest zawsze możliwa. Gdy się ma wyraźnie określony cel przed oczami, wybór przeciwników, czy sojuszników nie może być zgóry ustanowiony, lecz wynika z sytuacji. Widzieliśmy, że nietylko publicyści i politycy — lecz nasze ochotnicze oddziały wojskowe musiały zmieniać front. Te, co się zbroiły przeciw Niemcom, (Dowborczycy) zmuszeni byli walczyć przeciw Rosjanom i odwrotnie, oddziały Hallera stoczyły pod Kaniowem śmiertelną bitwę z Niemcami po pokoju brzeskim. Nikt nie powie, że jedno lub drugie było zdradą lub zmianą przekonań. Cel był zawsze ten sam: niepodległość i zjednoczenie.

Kto wie do czego dąży, dla tego przeciwnikiem jest każdy, kto mu stawia zapory, a sprzymierzeńcem każdy, kto do tego celu toruje drogę. Wspólny cel jest naturalnym, zdrowym łącznikiem dla organizacji politycznej, czyli dla stronnictwa.

Faktem oczywistym i wielokrotnie stwierdzonym jest, że człowiek najmędrszy, najdalej patrzący w przyszłość i najsprawiedliwsze cele mający na widoku nie może nie zdziałać dla swej idei, póki jest osamotniony. Warunkiem realizacji jego programu jest zdobycie dla niego licznego i zorganizowanego poparcia. W odosobnieniu można jaśniej i głębiej myśleć niż w gromadzie, ale tylko gromada daje siłę wykonawczą. Mądrość, która nie promieniuje wokoło, nie kształci, nie przekonywa, jest bezsilną. Równie bezsilnem jest choćby najliczniejsze skupienie bezprogramowe, t. j. złożone z ludzi nie wiedzących czego chcą. Nie pamiętam, który to z mężów stanu powiedział, że nad tysiącami ludzi nie wiedzących do czego dążą, zawsze weźmie górę choćby dwudziestu takich, którzy wiedzą czego chcą.

U ludzi, dla których ideałem w polityce jest bezpartyjność, a więc bezprogramowość — cała ich pogarda dla partyjnicstwa — gdybyśmy rzeczy nazywali po imieniu — płynie z obawy, by nie zdemaskować własnej nicości, gdy będą mieli do czynienia ze świadomą i zorganizowaną przewagą ze strony im przeciwniej. Rozproszkowanie społeczeństwa, zupełna dezorientacja opinii publicznej jest dla nich niezbędnym warunkiem utrzymania się na stanowisku, do którego nie dorośli. Tylko na tle lotnego piasku mogą uchodzić za granitowe posągi.

Stronnictwa skupione wkoło jakiejś jasno określonej idei, posiadające wyraźny program działania — (co nie wymaga bynajmniej jednomyślnego poglądu na świat, życie i wszystkie zagadnienia odległej przyszłości, czyli doktryny gotowej i ustalonej raz na zawsze) — rosną i wzmagają swoje siły wtedy, gdy łamią się z największymi przeciwnościami, to znaczy, gdy przeszkody tamujące im drogę są bardzo widoczne i powszechnie dotkliwie odczuwane. Rzeczy despotyczne budzą szerokie sympatje dla szermierzy wolności. W Niemczech stronnictwo katolickie (centrum) urosło do największej potęgi w czasie „kulturkampfu“. Socjaliści, którzy w pierwszym parlamencie mieli zaledwie jednego posła, po obwieśczeniu walki przeciw partjom przewrotu (umsturzparteien) z roku na rok zwiększali swe szeregi, aż stali się jedną z najliczniejszych partyj. Łatwe zwycięstwa bywają zwykle krucze i przelotne. Bardzo słusznie powiedział prezydent Wilson, że znacznie lepiej jest przegrać walcząc w sprawie, która musi zwyciężyć, niż zwyciężać w sprawie, która musi przegrać.

W pierwszym wypadku zwyciężeni mają przyszłość przed sobą, w drugim — są skazani na niepowrotną zagładę. Jeśli bowiem dana grupa ludzi zdobyła bezwzględną przewagę, wszystkie siły i środki skupiła w swoich rękach, a krajowi nic z tego nie przyszło, — to już raz na zawsze udowodniła, że po niej niczego dobrego spodziewać się nie można. Tem się tłumaczy ta wiecznie potwierdzająca się w dziejach opinia, że „od kapitolu do skały tarpejskiej jest tylko jeden krok“.

Jednakże dla wielu pseudointeligentów doświadczenia historyczne są zupełnie stracone, gdyż oni nie umieją i nie chcą się nad nimi zastanawiać. Istnieją i dziś, jak w dawniejszych czasach organizacje polityczne całkowicie bezprogramowe i bezideowe, dla których jedynym łącznikiem jest wspólna walka o władzę. Dzielą one społeczeństwo własne na „swoich ludzi“ i nie swoich, to jest na tych, których poprzysięgły sobie zwalczać „gdzie się da, kiedy się da i jak się da“. Wszystko, co jest po za ich zgranymi szeregami, stanowi zwierzyńnię, na którą się poluje. Program — to jest cel nieosobisty — zmieniają wedle okoliczności zgodnie z chwilową konjunkturą. Jest on zawsze inny przed wyborami, inny po wyborach. W pierwszej fazie musi być popularny, w drugiej — dogodny, praktyczny, a zawsze elastyczny i zagadkowy. Idąc do władzy — sypią liczne obietnice, po osiągnięciu jej — muszą się od nich wykręcać. Dla takich skupień taki czy inny program jest ciężarem nieznośnym, bo krępuje ruchy, jak dyby.

Taka grupa polityczna ma rację, gdy nie pozwala się nazywać partją, bo to istotnie nie jest stronnictwo — tylko klika.

Znalśmy takie formacje w przedrozbiorowej Polsce i poczyniliśmy z niemi gorzkie doświadczenia. Wtedy nazywało się to „fakcją“, a punktem skupienia dla każdej z nich był jakiś dwór magnacki; sztandarem nazwisko jakiegoś jaśnie wielmożnego, ambitnego awanturnika, rwącego się do władzy bez innego celu, tylko by jej szeroko używać i bezkarnie nadużywać. Nawet tam, gdzie jej nie zewnątrz nie groziło, klika nosiła śmiertelny związek rozkładu w swoim wnętrzu. Cele samolubne są bardzo trudno podzielne, nie starczy nigdy środków dla zadowolenia wszystkich stronników,

zwłaszcza, gdy ich się zgromadzi dużo, a inaczej nie można odnosić zwycięstwa. Nie wszyscy mogą być równo wszechpotężni i bezkarni. Przy podziale łupów — wzrasta zastęp niezadowolonych. Ci, co w walce szli ręką w rękę, po zwycięstwie szczerzą wzajem na siebie zęby i wyciągają pazury. Ten gorszący przykład nie zjednywa nowych zwolenników. Im większy gwałt zadawano własnemu sumieniu, tem więcej jadu sączy się w walkach wewnętrznych.

Ci, co szczerze i z zaparciem się siebie walczyli o dobro ogólne, o pomyślność szerokich mas, całego kraju, całego narodu, nie mają tak ciężkich zobowiązań. Jeśli się nawet okaże, że pomylili się w swoich przewidywaniach, to mieli po swej stronie tych tylko, co podzielali ich nadzieje, czy złudzenia, nie mają więc podstawy do obwiniania kogokolwiek prócz siebie samych. Mogą powiedzieć, że doznali zawodu, ale nie mogą się skarżyć, że zostali oszukani. Pierwsza porażka nie zagraża drogi do późniejszych triumfów, gdy zdobyte doświadczenie posłuży do sprostowania mylnych dróg. I oni także zdążali do władzy, bo ona miała być dla nich środkiem realizacji ich ideałów, ich celów nieosobistych. Zwiększała ich ciężar odpowiedzialność za to, co się w kraju dzieje — ale otwierała pole do rzeczywistych zasług.

Zdarzało się, że takie stronnictwa przeżyły swych twórców, że w dalszych pokoleniach ich program rozwijał się, uzupełniał, dojrzewał, przystosowywał do nowych stosunków lub te stosunki przetwarzał w myśl ideału nie dającego się zrealizować doraźnie w jednym historycznym sezonie, lecz przekazywanego następcom, a zaznaczającego swój pochód w przyszłość, pozostawiając na każdym kolejnym etapie dzieła nieprzemijającej i bezspornej doniosłości, niby drogowskazy dla następnych pokoleń.

Ongi takich ludzi, co uganiali się tylko za łatwym sukcesem i doraźną korzyścią, nazywano w Polsce „dojutrkami“, a gdyby się cały naród składał z takich *dojutrków*, nigdy nie zbudowanoby żadnego trwałego gmachu, nie zasadzonoby żadnego ogrodu i cały kraj byłby dotąd pustkowiem. Każde pokolenie nowe, które wstępuje na arenę publiczną, winno mieć przed oczami to, co po sobie pozostawi.

JÓZEF DUBIEL

## Polityka zagraniczna a instynkt narodowy.

Zrozumiałem jest, że polityka zagraniczna nie może być urzeczywistnieniem poszczególnych żądań opinii publicznej, bezosobowej, nieodpowiedzialnej i co chwila zmiennej. Głównym kryterjum dla dobrej polityki zagranicznej jest interes Rzeczypospolitej, jeśli nie pojmowany sub specie aeternitas, to w każdym razie jednak oglądany w perspektywie całych okresów historycznych. Nieuniknionem także jest to, że ten interes będzie zawsze miał pewne indywidualne ujęcie, stosownie do indywidualności tego, kto politykę zagraniczną prowadzi. Inaczej ją prowadził Marszałek Piłsudski i minister Beck, a inaczej kierowałby nią kto inny. Wobec tego jaknajdalej posunięta niezawisłość polityki zagranicznej od

wszelkich zmian wewnątrz państwa będzie zawsze jednym z głównych wymogów dobra państwa, jego racji stanu. Przez to jednak nie chcemy odmawiać opinii publicznej prawa zajmowania się kwestjami polityki zagranicznej, jak to czyni „sanacja“. Ustalenie się słusznego i pożytecznego stosunku między opinią publiczną a właściwą polityką zagraniczną jest wynikiem wysokiej kultury politycznej narodu i dobrze wykształconego „zmysłu państwowego“ obywateli.

Wszystko to jednak zmienia się zupełnie, kiedy z pewnych posunięć polityki zagranicznej zaczyna się wysnuwać daleko idące konsekwencje w wewnętrznej polityce. Obserwujemy to w związku z naszą nową polityką wobec Rzeszy Niemieckiej.

Sprawie tej chcemy poświęcić kilka uwag, nie wdając się na tem miejscu w ocenę samego paktu z 26 stycznia 1934 r.

Odkąd elementami nowego stosunku między Rzeczpospolitą i Rzeszą stała się nietylko nie-agresja, ale także „zbliżenie“ i „porozumienie“, odtąd wpływ tego stosunku na pewne sprawy polityki wewnętrznej jest nie do uniknięcia. Zwłaszcza stał się on przyczyną takiej polityki polskiej wobec mniejszości niemieckiej, która pozwoliła na ogromne zaktywizowanie tej mniejszości coby jeszcze nie usprawiedliwiało alarmów opinii polskiej, gdyby ta aktywizacja nie przybierała w niektórych wypadkach form jakiejś *swoistej irredenty* i gdyby nie rozszerzała się, wyzyskując pewne momenty socjalno-gospodarcze, na ludność polską.

W sprawie tej istnieje *zasadnicza niezgodność między polityką rządu a opinią publiczną, zwłaszcza w zachodnich województwach*, niezgodność tak głęboka, iż lekceważenie tej opinii przez rząd, jak się to dzieje dotąd, może stanowić poważną szkodę dla bardzo istotnych interesów Rzeczypospolitej. Istnieje głęboka niezgodność między naszą polityką zagraniczną i jej konsekwencjami w polityce wewnętrznej a instynktem narodowym ludności na kresach zachodnich, wytworzonym w wieloletniej walce z germanizacją. Jest rzeczą rządu, i tego domaga się od niego opinia publiczna, nie pozwolić, by sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce nie przekraczała, ze szkodą dla polskiej racji stanu, swoje naturalne granice, wytworzone przez warunki etnograficzno-histeryczne, a przede wszystkim przez rzeczywistą liczbę prawdziwych, a nie sztucznie terrorem gospodarczym i niedozwoloną propagandą wytwarzanych Niemców. Nie wolno dopuścić do tego, by obok niewątpliwie ważnych problemów narodowościowych w Polsce: rusko-ukraińskiego i żydowskiego — wytwarzano sztucznie problem trzeci: niemiecki.

Z niewątpliwą sympatją odnosić się można do wszelkich aktów, które mają urzeczywistnić porozumienie polsko-niemieckie. Ale za to wszystko nie

możemy płacić ceną rozbijania polskich zebrań i przedstawień przez bojówki niemieckie; w Polsce zaś biernem przypatrywaniem się temu, jak agenci niemieccy wśród rdzennie polskiej ludności niektórych powiatów Wielkopolski i Pomorza zbierają podpisy na jakiś nowy plebiscyt. Zdajemy sobie sprawę z tego, że wszystkie te sprawy wyglądają inaczej z Belwederu, ul. Wierzbowej czy Wilhelmstrasse, a inaczej z Bytomia albo Katowic. Inaczej w skali jednego czy kilku województw, a inaczej w skali ogólnopństwowej. Tem niemniej wydaje nam się, że nawet pod kątem tych całych okresów historycznych większą wagę ma to, że polskie dzieci wpisuje się do niemieckiej szkoły, a przy poborach wojskowych młodzi ludzie, którzy kończyli szkoły polskie, przyznają się do narodowości niemieckiej, niż to, co o stosunkach polsko-niemieckich w Berlinie głośno na swój sposób mówi p. Hitler, a w Warszawie powściągliwie i w starannie odmierzonych dawkach p. Beck.

Omawiana sprawa znalazła ostatnio drastyczny wyraz z powodu zakazania Związkowi Powstańców Śląskich urzędzenia rocznicy powstania śląskiego w stolicy. Nie zamierzamy bynajmniej roztkliwiać się tu nad niewątpliwym afrontem, jaki spotkał ze strony rządu „sanacyjny“ Związek Powstańców. Jakkolwiek i z tej strony ten pierwszy bodaj prawdziwy bunt przeciwko rządowi już nietylko „sanacyjnej“ organizacji, ale samego śląskiego B. B. W. R. byłby niezmiernie ciekawy. Incydent ten, którego przyczynę trudno będzie wyjaśnić nawet pokornym członkom Związku Powstańców, jak to mówi Główny Zarząd tego Związku, staje się jasnym w świetle polityki „zbliżenia i porozumienia polsko-niemieckiego“. Specjalnego wyrazu incydent ten nabiera wobec znanej wrażliwości naszego rządu na punkcie spraw mocarstwowo-prestige'owych.

Czas najwyższy dać zrozumieć komu należy, że zbliżenie polsko-niemieckie nie może być w żadnym związku z jakąś niemiecką irredentą i propagandą hitlerowsko-nacjonalistyczną wśród ludności polskiej.

---

JERZY AUGUSTOWSKI

## Lewicowi przeciwnicy demokracji.

### I.

Pisząc dotychczas o demokracji i występując w jej obronie mieliśmy na uwadze wyłącznie prawie wrogów jej ze strony t. zw. prawicy, to znaczy stronnictw jawnie konserwatywnych, zwolenników ustroju autorytatywnego, oraz ugrupowań bez wyraźnej fizjognomji politycznej, nie mających odwagi jawnie stanąć na stanowisku faszyzmu, hitleryzmu, lecz wysuwających rozmaite mgliste, bliżej nieokreślone programy w rodzaju korporacyjnego państwa, skłaniających się ku systemom konserwatywnym i dyktatorskim. Oprócz jednak tych przeciwników, bronionego przez pismo nasze ustroju, są inni należący do t. zw. lewicy społecznej, a więc pewna część socjalistów, komuniści oraz ci, co lawirują pomiędzy skrajnymi zwolennikami swoiście pojmowanego marksizmu, a zwolennikami Lenina i Stalina.

*Ci lewicowi przeciwnicy demokracji zaczęli być głośni zwłaszcza po upadku socjalnej demokracji w Niemczech i Austrii.* Pod tym względem szczególnie charakterystyczną jest pewna część socjalistycznej emigracyjnej literatury niemieckiej.

Zwolennicy tego kierunku twierdzą, że wypadki w Niemczech i Austrii wykazują jakoby, że demokracja jest bezsilna w zakresie gruntownego zreformowania obecnego ustroju społecznego, że więc, dążąc do obalenia istniejących dyktatur naprzykład we Włoszech czy też w Niemczech, nie należy w razie zwycięstwa zaprowadzać ustroju demokratycznego, lecz dyktaturę proletariatu, która tylko jest zdolną przeprowadzić głębokie zmiany w istniejącym ustroju społecznym.

Otóż już w Nr. 5 „Demokraty“ w artykule „Demokracja a socjalizm“ zwróciłem uwagę czytelników na to, że w Niemczech po ogłoszeniu repu-

bliki nie prowadzono polityki demokratycznej, na co przytoczyłem dowody. Nie chcąc się powtarzać, zaznaczę tu tylko, że konstytucja wejmarska nadała zbyt wielką władzę Prezydentowi, że podczas rządów kanclerza Brüninga parlament był usunięty na bok, a polityk ten, za cichą zgodą stronnictw „demokratycznych“, a nawet socjalnych demokratów, rządził za pomocą rozporządzeń prezydenta, czyli faktycznie demokracja schowała się dobrowolnie za plecy kanclerza, w obawie, aby uniknąć walki za wszelką cenę, w czasie, kiedy była jeszcze zupełnie możliwa i kiedy mogła stać się nawet zwycięską. Wspomnienia najwybitniejszych ówczesnych działaczy zarówno z obozu demokratów, jak i socjalistów nie pozostawiają pod tym względem żadnych wątpliwości.

Lewicowi przeciwnicy demokracji twierdzą jeszcze, że legalizm i lojalizm prawno-państwowy, właściwy demokracji, spowodował porażkę socjalistów. Rozumowanie to jest zupełnie błędne.

Istotnie, co oznacza bowiem ten legalizm i lojalizm demokracji? To tylko, że przy istnieniu ustroju opartego na: równości praw politycznych obywateli, rządu zależnego od parlamentu, niezależnego sądownictwa i przy przestrzeganiu praw przez administrację należy, dążąc do reform, postępować wogóle zgodnie z ustawami. Tego rodzaju legalizm i lojalizm demokracja musi uznać i uznaje. Nie jest to więc poddawanie się każdemu rządowi, każdemu rozporządzeniu, czy ustawie, bez względu na to, jakim on, ono, czy ona są.

Demokraci francuscy za monarchii lipcowej i drugiego cesarstwa we Francji w latach od 1830 do 1848 i od 1852 do 1870 nie byli legalistami i lojalistami; przeciwnie, jak o tem świadczą liczne procesy z tych czasów, zwalczali ostro ówczesne systemy, przekraczając często rozmaite obowiązujące przepisy.

Jeżeli więc demokraci i socjalni demokraci w Niemczech unikali walki za wszelką cenę, jeżeli dopuszczali do ekscesów narodowych socjalistów nie przeciwdziałając im, to niech nie bronią się tym argumentem, że postępowali tak z nakazów postulatów demokracji.

Dyrektor policji pruskiej Grzesiński, socjalny demokrata, pisze w swych wspomnieniach, że przed przewrotem w Niemczech zdecydowany był aresztować działaczy hitlerowskich, ale sprzeciwiło się temu ministerstwo, w którym rej wodzili jego koledzy partyjni. Czy zrobili to także z nakazu idei demokratycznych?

## II.

Lewicowi przeciwnicy demokracji wysuwają jeszcze przykład Austrii i twierdzą, że i tam demokracja jakoby zawiodła, gdyż pomimo tego, że działający w niej socjaliści byli o wiele energiczniejsi, śmielsi od niemieckich, jednakowoż nie zdołała się ona utrzymać, gdyż ostatecznie zwyciężył ustrój autorytatywny.

Tak się działo istotnie, ale winni tu są socjaliści sami, a nie demokracja.

Istotnie, po ogłoszeniu republiki w Austrii socjaliści, jak i w Niemczech doszli do władzy i posiadali ją czas jakiś całkowicie i dużo zdziałali, broniąc robotników przed nędzą, stwarzając wspólnie instytucje oświatowe i kulturalne. Zarazem jednak popełnili kilka błędów zasadniczych.

Kiedy stracili całkowitą władzę i musieli dzielić się wpływami z partją chrześcijańsko-socjalną,

chcąc się zabezpieczyć na przyszłość, utworzyli niby własne wojsko. Był to błąd bardzo duży.

1. Przestraszyło to nie tylko wielką burżuazję i arystokrację, ale także drobnomieszczanstwo i część chłopów, będących pod wpływem konserwatywnej części duchowieństwa. Okoliczność ta ułatwiła porozumienie się stronnictw i grup wrogich socjalizmowi i demokracji.

A można było tego uniknąć. W małej armji państwowej socjaliści i tak mogli mieć i mieli na pewno duży wpływ. Tworząc zaś armję własną, pobudzili żywioły zachowawcze: reakcyjne do nadsłownictwa i później doczekali się tego, że powstały z czasem inne wrogie im, a także partyjne organizacje wojskowe.

2. W lecie 1927 roku po wyroku rzeczywiście niesprawiedliwym z powodu okoliczności, o których nie mogę tu się rozpisywać dla braku miejsca, a wydanym przez sąd przysięgłych, nastąpiły rozruchy w Wiedniu o charakterze rewolucyjnym, spalono jeden gmach, należący do ministerstwa sprawiedliwości, walczono na ulicach z policją i t. p. Socjaliści twierdzą, że nie oni wywołali ten ruch. Być może, że tak było istotnie, ale ponieważ w zaburzeniach tych udział brali robotnicy, więc, kiedy później chodziło o ich ukaranie, to socjaliści przeciwstawili się temu z całą siłą.

Otóż nie mieli w tem racji. Wyrok wydał sąd przysięgłych, za który ani rząd w całości, ani sądownictwo państwowe jako takie, ani żadna osoba władzę posiadająca specjalnie odpowiedzialną być nie mogła. Rozruchy więc były niczem nieuzasadnione, a obrona winnych przez partję socjalistyczną wskazywała na to, że będzie ona zawsze broniła ekscesów, o ile w nich robotnicy udział mieć będą. Stanowisko partji socjalistycznej wywołało więc oburzenie i silne obawy w Wiedniu i całym państwie. Od tego czasu zaczęto myśleć o złamaniu siły socjalistów.

3. W Wiedniu, który tworzył gminę miejską i zarazem był państwem w federacji austriackiej, socjaliści mieli większość i nie tylko w początkach republiki, ale i później, przez szereg lat prowadzili politykę taką, że obciążali rozmaitemi podatkami i opłatami mieszkańców, zwłaszcza właścicieli domów, a otrzymane tą drogą sumy obracali w znacznym stopniu na rozmaite kosztowne instytucje robotnicze. Wszystko to robione było w ciężkich czasach, przy stagnacji w przemyśle i handlu.

Jak już powiedziałem, istotnie zrobiono bardzo dużo dla mas robotniczych, ale należało to robić bardziej racjonalnie i liczyć się z tem, że taka polityka jednostronna musi prędzej czy później doprowadzić do starcia.

Gdyby jeszcze Wiedeń nie był tylko dużym miastem, ale rozległym państwem zabezpieczonym od wpływów zewnętrznych, wówczas polityka taka, prowadzona ostrożniej, niż to było w stolicy Austrii, może mogłaby się utrzymać. Ale była ona małym państwem, a Wiedeń tylko jej stolicą.

Kiedy przeciwnicy socjalistów doszli do władzy w Austrii, kiedy Hitler zdobył ją już w Niemczech, a Mussolini od szeregu lat był dyktatorem Włoch — widoczną było rzeczą, że musi dojść do walki pomiędzy austriackimi socjalistami a ich przeciwnikami. Skoro, jak to późniejsze wypadki pokazały, socjaliści nie tylko wiedeńscy, ale i prowincjonalni, byli ludźmi ofiarnymi i bohaterami, skoro chcieli

się bronić, co im tylko zaszczyt przynosi, to obronę należało rozpocząć przed rozbrojeniem małej armji socjalistycznej, a nie później. Tymczasem stało się inaczej. Czekano, myśląc, że pertraktacje doprowadzą do czegoś. Tymczasem kanclerz łudził tylko Bauera, przewodząc socjalistów. Wreszcie zaczęło się od aresztów socjalistów w Linzu, a skończyło się na walce rewolucyjnej w Wiedniu, która skończyła się katastrofą.

Widzimy więc, że nie demokracja, jako ustrój Austrii, nie demokracja, jako idea przewodnia, spowodowała porażkę socjalistów austriackich, lecz własne ich błędy polityczne, wyżej zaznaczone. Oni najpierw naruszyli zasady demokratyczne, tworząc własną armję, oni przeceniali swe siły.

### III.

Ci z pośród socjalistów, a na szczęście nie tworzą oni większości, co myślą o dyktaturze proletariatu, zapominają o tem, że ustrój, do którego dążą, nie może być przeprowadzony prędko, gdyż wymaga on tak rozległych zmian, na które potrzeba bardzo dużo czasu. Każda zaś dyktatura, a zwłaszcza długa, ulega z konieczności zwyrodnieniu. Posiadanie władzy nieograniczonej demoralizuje tych, co ją posiadają i tych, co jej podlegają. W Rosji sowieckiej dyktatura niby proletariatu jest dyktaturą nad proletariatem.

Zresztą w Niemczech komuniści mieli w programie dyktaturę proletariatu, a jak się zachowali w czasie przewrotu 1933 roku? Gorzej od socjalistów, którzy jej nie propagowali.

*W tych państwach, które żyły w ustroju prawdziwie demokratycznym, nie ma i nie będzie dyktatury. Nie ma jej we Francji, po długim istnieniu III Republiki, nie ma jej w Anglii, która od ostatnich lat 20 ubiegłego wieku jest demokracją, nie ma jej w Belgji, w Holandji i w krajach skandynawskich.*

Dlatego też, dążąc do przekształcenia istniejącego ustroju na inny lepszy, zapewniający ludziom pracę, egzystencję coraz lepszą i zasłużony odpoczynek w czasie starości, ustroju, który będzie mógł się z czasem coraz bardziej doskonalić — musimy zacząć od zdobycia państwowych instytucyj demokratycznych, w ramach którego tylko będziemy mogli się swobodnie rozwijać.

Zwolennicy dyktatury proletariatu dawni i współcześni opierali i opierają swe nadzieje na ciągłym liczebnym wzroście proletariatu, zarówno absolutnym, jak i stosunkowym (do ogólnej liczby mieszkańców w państwach poszczególnych).

Otóż najnowsze objawy rozwoju gospodarczego nadzieje te obalają. Istotnie, kapitalizm nie może ciągle rozwijać się w formach dotychczasowych. Nadzwyczajny jego rozwój od końca XVIII, po przez wiek XIX i w XX był wynikiem tego faktu, że państwa wielkoprzemysłowe w Europie, a później także Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, zdobywały coraz nowe rynki dla swego przemysłu, przenikając do krajów półcywilizowanych i barbarzyńskich, narzucając im swoje towary i wyzyskując je. To się skończyło.

Nowych terenów nie będzie, gdyż wszystkie istniejące są już zajęte. Pozatem rozmaite państwa niezależne i hołdownicze, oraz niektóre kolonie Anglii rozwinęły przemysł własny i proces ten odbywać się będzie dalej jeszcze. Skutkiem tego nie tylko dalszy szybki i stały rozwój kapitalizmu, któremu towarzyszy wzrost klasy robotniczej

w państwach europejskich, osłabnie, a może nawet zatrzyma się na pewnym poziomie, ale nawet prawdopodobnem jest to, że kraje o najsilniejszym rozwoju kapitalizmu, jak Anglja, Niemcy, Belgja, w przyszłości ilościowo będą musiały swój wielki przemysł zmniejszyć z powodu braku rynków zbytu, przez co liczebnie klasa robotnicza się zmniejszy, zwłaszcza w stosunku do ogólnej ludności w państwie. Tak będzie w państwach, w których wielki przemysł doszedł do najwyższego stopnia rozwoju. W innych znowu państwach, jeżeli klasa robotnicza wzrastać będzie i absolutnie i stosunkowo, to wzrost ten także istnieć będzie tylko do pewnego czasu. Niema więc powodu przypuszczać, aby wszędzie proletariąt stanowić miał, albo absolutną większość ludności, albo mniejszość, ale tak poważną i skoncentrowaną, że będzie mogła opanować większość. Okoliczność ta utrudnia, a nawet uniemożliwia dyktaturę proletariatu.

Jeden jeszcze fakt działa w tymsamym kierunku. Oto wątpliwości żadnej nie ulega, że ponieważ proletariąt wogóle, a przynajmniej ogromna jego większość, w gorszych znajduje się warunkach od innych warstw społecznych, więc powstaje wśród niego, zwłaszcza w tych jego kołach, którym się lepiej materialnie powodzi, tendencja naturalna do wyjścia z niego, jako klasy społecznej i przejścia czy to do sfer drobnomieszczańskich, czy drobnoprzemysłowych, a przynajmniej do dania dzieciom pewnego wykształcenia chociażby średniego, ogólnego, czy zawodowego, rzadziej wyższego i ułatwienia im przejścia do sfery innej niż proletariacka.

Jest to tendencja naturalna, zrozumiała, z powodu której nie można nikomu robić zarzutu.

Takie przejście do innej warstwy społecznej pociąga za sobą konsekwencje społeczno-polityczne, osłabia proletariąt materialnie i kulturalnie, przez co czyni go mniej zdolnym do zdobycia dyktatury. Ubolewać tylko należy nad tem, że ci, którzy wyszli z klasy robotniczej, często przestali nią się interesować, a nawet z nią sympatyzować.

Wreszcie sama klasa robotnicza nie jest tak jednolitą pod względem materialnym, umysłowo-kulturalnym, a nawet polityczno-społecznym. Nawet w państwach, w których ruch robotniczy istnieje od lat 100, albo mało co mniej, nie cały bynajmniej proletariąt należy do tych stronnictw, które chcą zaprowadzić ustrój całkowicie socjalistyczny, przez dyktaturę proletariatu.

Dlatego też napewno można powiedzieć, że w żadnym państwie cała klasa robotnicza nie pójdzie za hasłem dyktatury, która zawsze jest niewiadomą i ryzykowną. Widzimy więc, że dyktatura proletariatu nie tylko nie jest pożądaną, ale nawet nie jest możliwą.

A może powiedzą nam, że Rosja Sowiecka przeczy tym wywodom?

Otóż w Sowietach niema żadnej dyktatury proletariatu, jest tylko dyktatura nad proletariatem bezwolnym, rządzonym zgóry despotycznie, ale o tem, co jest obecnie w Rosji pomówimy kiedy indziej.

Dla przeprowadzenia głębokich reform potrzebny jest blok stronnictw prawdziwie demokratycznych. Naiwni zwolennicy dyktatury proletariatu wyobrażają sobie, że hasło to zelektryzuje masy, wytworzy z nich taką siłę, która narzuci społeczeństwu nowy ustrój. Jest to niebezpieczne złudzenie.

# Na marginesie sprawy żydowskiej.

**K**westja żydowska — to jedno z bardzo poważnych zagadnień polityki wewnętrznej Polski, ba, zahaczające często i o politykę zagraniczną. Przesadą jest, jak to czyni endecja, sprowadzać całą politykę polską do sprawy żydowskiej; endekowi bowiem chałat żydowski przysłania całą Polskę, a może i świat cały, czyni dłoń wszelkie inne zagadnienia polityczne małoważnymi, często niedostrzegalnymi.

Choć to może brzmi nieco paradoksalnie, Żydzi mogliby czuć się dumni z aureoli wielkości i potęgi, jaką zdobią ich publikacje endeckie.

Sprowadzając jednak rzeczy do proporcji właściwych, przyznać trzeba, że wśród zagadnień, zwanych „mniejszościowymi“, zagadnienie żydowskie zajmuje w Polsce miejsce niepoślednie. Zagadnienie to powinno być rozpatrywane z różnych punktów widzenia, posiada ono bowiem podłoże bardzo skomplikowane, na którego wytworzenie złożyły się czynniki psychologiczne, gospodarcze, polityczne i inne.

Naród żydowski, boć ostatecznie umilkły już głosy, które ongi odmawiały Żydom miana narodu, stanowi dziwaczny, pod pewnymi względami, wyjątek wśród narodów świata. Dziwaczność taka pozwala narodom w rodzaju Żydów i Cyganów tysiące lat tułać się w obcych środowiskach bez utraty swej odrębności, choć w tymże czasie poginęły przez rozplynięcie się w innych setki, może tysiące narodów, wielokroć potężniejszych od tych plemion tułaczy. Dobór naturalny, decydujący w walce o byt narodów, dał narodowi żydowskiemu giętkość trzciny przy długowieczności dębu; czy stało się tak ku uszczęśliwieniu samych Żydów, wątpić wolno.

Żydzi pozostali więc psychicznie, pod pewnymi względami, niezmienni, przechowali się niby zabalzamowana mumja narodu z przed tysiącleci, nie przeszli przeobrażeń, jakie przechodziły inne narody, przeżywające coraz nowe formy istnienia narodowego, zmieniające nie tylko język i miano, ale również swą psychikę i obyczaje.

Dlatego to psychika zbiorowa Żydów jest tak niezrozumiała dla ich dzisiejszego otoczenia, pomimo codziennego obcowania wzajemnego.

Specjalną cechą psychiki żydowskiej jest dobre umiowanie o swej zbiorowości, owa dziwaczna, niespotykana gdzieindziej na stałe, pycha zbiorowa. W mniemaniu własnym Żydzi są solą ziemi; ich to specjalnie upodobał sobie Jehowa, im przeznaczył panowanie nad światem całym.

Pycha ta zbiorowa przenika świat duchowy żydostwa, zewnętrznia się w bibliji, w talmudzie, zwłaszcza w ustępach, określających stosunek Żydów do „gojów“.

W wyniku tej pychy Żyd czuje pogardę dla „goja“, czuje wstręt do jego osoby, do jego domu, do jego pożywienia, wstręt, ubrany w przepisy religijne. Żyje on wśród „gojów“, ale głęboko jest przeświadczony o swej nad nimi wyższości. Jest to zarozumiałstwo rasowe, które w czasach obecnych starają się narzucić swym narodom różni dyktatorzy, wzorując się bezwiednie na rasistycznej psychice żydowskiej.

Ale zwykle, materialne prawa mechaniki znajdują często zastosowanie do zjawisk społecznych,

a nawet zbiorowo-psychicznych: prawo działania i przeciwdziałania sił sprawia, iż wstręt Żydów do nieżydowskiego otoczenia budzi w nieświadomym odwiecie wstręt „goja“ do Żydów. Wstręt ten jest często podświadomy, ale istnieje niezaprzeczenie; „goj“ brzydzi się jadem, przygotowanym przez Żyda, a do spożycia tego jada skłania go rozumowanie lub niższa cena. A nie odczuwa tego wstrętu w stosunku do narodów innych, choćby najbardziej egzotycznych i kolorowych.

Ta niechęć otoczenia do Żydów istniała zawsze, nawet w czasach, gdy nikomu się nie śniło o formułowaniu poglądów antysemitycznych; jest to poprostu reakcją tego otoczenia na daleko bardziej świadome i o wyższym napięciu niechęć i pogardę środowiska żydowskiego w stosunku do otoczenia aryjskiego.

Pogarda rodzi pogardę; tylko że w praktyce pogarda dotkliwiej daje się odczuć stronie słabszej.

I to właśnie jest tragedją dumy żydowskiej: w snach i marzeniach Żyd depreczuje „goja“ i gardzi nim — na jawie z dobrą miną polykać musi upokorzenia, jakich mu życie codziennie nie szczędzi.

Można rozumieć tę tragedję odwieczną, można współczuć niezasłużonej tragedji jednostki, trudniej natomiast uważać tragedję zbiorowiska za niezasłużoną.

Ta wyprodukowana przez psychikę i umysłowość żydowską podstawa rasizmu, czyniąc dolę żydostwa ciężką i przykrą do miary gdzieindziej niespotykanej, darzy to żydostwo wzamian zdolnością zachowania odrębności rasowej, chroni je przed rozplynięciem się w środowisku obcym.

Więź rasowa żydowska, stanowiąca podstawę tysiącoletniej odrębności Żydów, odznacza się siłą niezwykłą. Naprzykład największymi szowinistami węgierskimi są Węgrzy wyznania mojżeszowego, którzy stanowią większość wśród węgierskich pracowników zawodów wyzwolonych, wśród średnich posiadaczy wiejskich, wśród karczmarzy; podczas wojny jeńcy Żydzi z armji rosyjskiej znaleźli wydatną opiekę po dworach i karczmach węgierskich, choć zdawałoby się, że nie łączy węgierskiego patrioty, niewładającego zwykle innym językiem prócz węgierskiego, z małomiasteczkowym litwakiem, porozumiewającym się zepsutą niemieczyzną.

Zresztą nawet Polacy mojżeszowego wyznania, czujący i myślący bezsprzecznie po polsku, a więc odbiegli bardzo daleko od ghetta, ciągną ku Niemcom, Francuzom czy Włochom pochodzenia żydowskiego; zazwyczaj są to bezwyznaniowcy, a łączy ich nie wspólność wyznania, lecz więź rasowa.

Wzorem dynastji panujących czy rodów arystokratycznych, Żydzi, nawet po szczerem przyjęciu polskości, chętnie zawierają małżeństwa międzynarodowe, w czym im ich polskość bynajmniej nie przeszkadza. Więź rasowa jest mocniejsza od więzi narodowej.

Więź ta wyrosła właśnie na podłożu pychy i pogardy dla ludzi innego pochodzenia. Pycha i pogarda istniały już przed tysiącami lat, bo przeglądając bibliję nie znajdzie się ani jednego narodu czy plemienia, z którym Żydzi żyliby po sąsiedzku i traktowali na zasadzie równości. I to właśnie było i jest powodem ogólnej niechęci do Żydów, nie zaś rzekoma odraza do nosów garbatych, do gestyku-

lacji krzykliwej, nawet nie do uzdolnień lichwiarsko-spekulanckich.

Te ostatnie swe uzdolnienia Żydzi zwykli przypisywać średniowiecznym i późniejszym zakazom uprawiania różnych gałęzi pracy; argument ten nie jest dostatecznie przekonujący, jeśli zważyć, że jeszcze przed zakazami, nawet jeszcze przed zburzeniem państwa żydowskiego, już wówczas byli Żydzi znani z tych uzdolnień na wszystkich wybrzeżach morza Śródziemnego. Późniejsze zakazy szły raczej po linii życzeń ghetta i dlatego tak ściśle mogły być wykonane.

Samo wytworzenie ghetta, tak sprzeczne z poglądami dzisiejszemi, a raczej sprzeczne z poglądami z przed doby faszyzmu, znowu szło po linii dążeń talmudystów i rzeczą wątpliwą jest, czy w swoim czasie było odczuwane przez Żydów jako wielka krzywda, jak to dzisiaj ich potomkowie starają się dowieść.

Nie idzie tu o usprawiedliwanie środków, idących w przeszłości na rękę separatyzmowi żydowskiemu i jednocześnie dążeniom kramikarzy chrześcijańskich, lecz o możliwie wszechstronne wyjaśnienie zawilego zagadnienia żydowskiego.

Przerost więzi rasowej u Żydów powodował, czy też szedł w parze z zanikiem innych uczuć zbiorowych, obserwowanych w narodach innych, zwłaszcza w narodach współczesnych.

Tak więc u Żydów w słabym stopniu jest rozwinięte przywiązanie do ziemi zamieszkania, stanowiące ostoję dzisiejszego patriotyzmu. Przywiązania tego zresztą Żydzi nie zdradzali i w czasach biblijnych; boć przecież ich masowe emigracje, czy to wtedy, gdy w grę wchodził Egipt, czy Palestyna, czy Babilon, jeżeli nawet w opisach biblijnych zostały one mocno przesadzone i przejawione, to w każdym razie, dowodzą dziwnej łatwości, z jaką Żydzi, pod wpływem jakiejś hysterji zbiorowej, potrafili z nagłą opuszczać ziemię, zamieszkaną od pokoleń.

Nie wystarczy tu objaśnianie faktów nakazami najeźdźcy; próba wypędzenia podczas wojny ludności polskiej z Kongresówki do Rosji dowiodła, jak takie rzeczy nie udają się, gdy wchodzi w grę ludność do ziemi przywiązana, a przecież próby takie jeszcze trudniej było przeprowadzać wówczas, gdy się rozporządzało techniką starożytną.

Do tejsze dziedziny zjawisk zaliczyć trzeba historyczną ucieczkę Żydów z Palestyny po zburzeniu Jerozolimy przez Rzymian; zresztą większość Żydów już wcześniej rozpełzła się po świecie.

Stąd wynika obecna łatwość przenoszenia się Żydów z kraju do kraju i brak u nich tęsknoty do kraju poprzedniego zamieszkania. Dlatego to nawet Polak wyznania mojżeszowego łatwo staje się Niemcem, Francuzem, Anglikiem, gdy los mu zdarzy dłużej w innym kraju pomieszkać; tem się też tłumaczy skłonność inteligencji żydowskiej do kosmopolityzmu, przy niemożności jednakże do szczętnego wyzwolenia się z więzi rasowej.

Zauważyć należy jeszcze, że zaobserwować się daje możność większa współzycia Żydów z jednymi narodami, niż z innymi; wchodzić tu muszą w grę jakieś niezbadane dotychczas składniki w psychice Żydów i ich otoczenia aryjskiego.

Nie ulega wątpliwości sentyment Żydów, zamieszkujących Europę środkową i wschodnią, do Niemców; nawet przejściowe gniewy na Hitlera nie podważają zapewne tych sympatyj na stałe.

Na obrazkowych niemieckich mapach, ilustrujących zasięg języka niemieckiego na świecie, nie mała rolę odgrywają wyrysowani na ziemiach polskich chałaciarze żydowscy. Przywiązanie Żydów do niemieczyny wyraża się w upodobaniu ich do zepsutego języka niemieckiego, czyni z nich świadomą czy nieświadomą placówkę niemieczyny na ziemiach polskich, na co polityka polska musi zwracać baczną uwagę.

Nawet Polacy wyznania mojżeszowego nie mogą się wyzbyć pewnego rodzaju słabości do Wiednia, Berlina lub chociażby Gdańska.

Do tych wszystkich czynników natury psychicznej przybyły w niezbyt odległej od nas epoce czynniki polityczne: Żydzi poczęli hołdować zasadom potęgującego się na świecie coraz bardziej nacjonalizmu, tworząc sjonizm.

W ten sposób nadali sobie oni cechy odrębnego narodu; twierdzenia, na których oparte były prądy asymilatorskie, że jakoby Żydzi stanowią tylko odrębną część drobnomieszczaństwa różnych narodów, okazały się bezpodstawnymi.

Wzamian za wątpliwej wartości zysk w postaci uzyskania miana narodu ponieśli Żydzi w tym wypadku sporą klęskę polityczną: odpowiedzią na sjonizm było powstanie i niebawem rozkwit antysemityzmu jako kierunku politycznego. Przed powstaniem sjonizmu istniała niechęć do Żydów, nie było jednakże antysemityzmu politycznego, zwłaszcza w dzisiejszych jego przejawach.

Tworząc sjonizm, Żydzi podkreślili w sposób jaskrawy swą obcość w stosunku do otoczenia, a otoczenie poczęło ustosunkowywać się ze swej strony w sposób niechętny do Żydów jako do żywiołu obcego, a więc zbędnego. To, co pierwaj było zaliczane do nieuzasadnionych odruchów natury uczuciowej, stało się przedmiotem uzasadnień politycznych, zostało podniesione do godności przekonania.

Zbilansowanie tych strat i zysków pozostawić zresztą należy samym Żydom; ich rzeczą jest ocenić, w jakim stopniu sjonizm był i jest im potrzebny.

Pozostaje jeszcze jedna strona zagadnienia żydowskiego — strona ekonomiczno-gospodarcza. Strona ta najczęściej była dotychczas omawiana przy rozważaniu sprawy żydowskiej, więc też tutaj można ją potraktować mniej obszernie.

Polska jest nasycona Żydami pod względem gospodarczym; brak pracy dla ludności chrześcijańskiej, który dawał się odczuć już w czasach przedwojennych, zmuszał tę ludność do chwytania się dziedzin pracy, zmonopolizowanych niemal przez Żydów, a jak ucza podręczniki fizyki, przy stanie nasyceń musiało to spowodować wydzielenie nadmiaru Żydów, usuwanie ich z Polski. Jest to proces gospodarczy, którego nie odwrócą żadne biadania ni pogróżki.

Proces ten rozpoczął się przed wojną w postaci powstania handlu polskiego. Po wojnie, wskutek bezładu, jaki wprowadzony został do stosunków handlowych, dzięki ogólnemu zbiednieniu i poszukiwaniu źródeł najtańszego zakupu, proces ten uległ zakłóceniu; przebieg jego i kierunek stał się mniej wyraźny. Jednakże po ustabilizowaniu się ostatecznym warunków gospodarczych proces ten, jak się zdaje, odżyje w całej pełni i potoczy się z większym jeszcze natężeniem, niż dotychczas.

Nie będzie to nawet zemsta za odgrywanie przez Żydów w swoim czasie w różnych dzielnicach Polski roli narzędzia germanizacji lub rusyfikacji.



nie będzie to przemyślanym środkiem ostrożności, zastosowanym względem notorycznych ośrodków sympatyi pronieriańskich, choć względ ten może wpłynąć na gospodarke wewnętrzną Polski.

Będzie to proces naturalny i nieunikniony, któremu zwłaszcza uwypuklona przez sjonizm obcość Żydów nada charakter walki o wyeliminowanie z organizmu ciała niepożądanych. Proces ten z natury rzeczy trwać będzie długo, a w każdym momencie tego okresu, pomimo obniżania się liczby Żydów w Polsce, stan nasycenia Polski Żydami pozostawać będzie bez zmiany, wobec rosnących aspiracyj handlowych ludności nieżydowskiej.

Rzeczą zrozumiałą jest, że proces taki nie może się odbywać w atmosferze sielanki, że, jak każda walka ekonomiczna, tak i ta wywoływać będzie rozgoryczenie obustronne, aż do czasu, kiedy proces wygaśnie, czy to przez usunięcie się Żydów z Polski, czy też przez sprowadzenie ich liczby poniżej stanu nasycenia. Innego rozwiązania sytuacji przewidzieć nie sposób, boć rodzące się w głowach młodzieży endeckiej projekty radykalnego wytepienia Żydów nie są realne; konsekwentniejsi od endeków hitle-rowcy nie mogli tego dokonać.

Proces zmniejszania liczby Żydów w Polsce, nieuchronny i niezawodny w swym wyniku ostatecznym, będzie się dokonywał powoli a konsekwentnie; trudno bowiem liczyć, że, jak w starożytności, nagły jakiś poryw nerwów spowoduje gromadny wymarsz Żydów choćby nad brzegi Amuru.

W stosunkach międzynarodowych proces ten będzie dążył do bardziej równomiernego rozsiania Żydów wśród społeczeństw aryjskich, do usunięcia ich nadmiaru z Polski.

W naszych dzielnicach zachodnich ręce polskie już potrafiły jąć się handlu; im dalej na wschód, tem wszechstronniej handel jest opanowany przez Żydów. Ba, w tej części Polski ludność polska tak jest jeszcze mało wyrobiona handlowo, że nie potrafi konkurować z Żydem, który zwycięża niskością cen, a umiętnością dogodzenia nabywcy góruje nad konkurentem-„gojem“. Nagłe zniknięcie Żydów w dużej części Polski zdeorganizowałoby stosunki handlowe.

Ba, gdyby tak Żydzi z dnia na dzień zanikli, najdotkliwiej odezuliby to politycy i publicyści endeccy, gdyż poprostu straciliby rację bytu. Bo z jednej strony działacze endeccy, z drugiej działacze nacjonalistyczni żydowscy żyją z podsycania wzajemnej niechęci; usunięcie powodu tej niechęci pozbawiłoby ich chleba lub conajmniej pozbawiłoby masła do chleba codziennego. Antysemita niezbędni są sjonistom i odwrotnie.

Ba, w obecnej przeżywanej dobie kryzysu endecy mimowolną oddali przysługę Żydom, zapędzając ich w swoim czasie obawą dojścia do władzy bez reszty do obozu dziś prorządowego. Otrzymane wzamian koncesje gospodarcze uczyniły los Żydów podczas kryzysu nieco znośniejszym, niż byłby on przy wolnej grze sił.

JANUSZ HALICKI

## Roman Dmowski.

W Nr. 5 „Demokraty“ redaktor Felczak poruszył słusznie sprawę narodowej demokracji, zowiącej się obecnie Stronnictwem Narodowym, a w międzyczasie Związkiem Ludowo-Narodowym, oraz rolę dzisiejszą długoletniego jej przywódcy p. Romana Dmowskiego, podkreślając ujemne jej strony w dobie obecnej.

Zadaniem mojem będzie przedstawienie jej w ostatnich dziesięcioleciach, co stanowi przedmiot artykułu niniejszego; następny poświęcony będzie Dmowszczyźnie.

Chcąc należycie ocenić charakter jakiegoś stronnictwa, należy choćby w krótkości omówić jego początki i główne fazy rozwojowe. Z tego względu wypadnie mi zacząć od czasów z przed lat prawie 50-ciu, to znaczy od powstania w r. 1886-ym t. zw. „Ligi Polskiej“.

Po upadku powstania 1863 i 1864 roku, które pochłonęło dziesiątki tysięcy ofiar poległych, zmarłych i zesłanych oraz kilkanaście tysięcy zmuszonych emigrować; po ogromnych stratach materialnych, spowodowanych przez represje rządu carskiego, nastąpiła w Narodzie Polskim psychologicznie zupełnie naturalna i zrozumiała reakcja przeciwko ruchom zbrojnym, mającym na celu bezpośrednie odzyskanie niepodległości Polski.

Jak każda reakcja, tak i ta poszła zbyt daleko, co także było całkowicie zrozumiałem.

Nowy ten kierunek poszedł o tyle zadaleko, że nie pozostał na krytyce powstania, które udać się mogło w naszych warunkach tylko przy wyjątkowych okolicznościach międzynarodowych, których w 1863 roku nie było, lecz zwalczał wszelkie spiski i akcje nielegalne w stosunku do Rosji i jej rządu. Tymczasem obrona narodowości i praca dla dobra narodu wymagała jednych i drugich.

Jednakże ten nowy prąd, zowiący się „programem pracy organicznej“ bynajmniej nie oznaczał tego, że Naród Polski raz na zawsze godzi się na zależność od państw obcych, że rezygnuje całkowicie z niepodległości; był on tylko wyrazem tego poglądu, że przy istniejącej konstelacji międzynarodowej, zwłaszcza po porażce Francji w 1870 r. i po zjednoczeniu Niemiec, przez co Prusy stały się pierwszą w Europie potęgą militarną, walka orężna o niezależny byt Polski, na czas bliżej nieokreślony, nie miała szans powodzenia.

Tak program ten pojmowali\*) inteligentni i wybitni jego zwolennicy; ocywiście byli i tacy, dla których był on wymówka, ułatwiająca usuwanie się od pracy polityczno-obywatelskiej. Dlatego też tego programu „pracy organicznej“ nie można utożsamiać całkowicie z programem petersburskiego „Kraju“, który powstał później, bo dopiero w 1882 i otwarcie głosił konieczność pogodzenia się z losem i współistnienia z Rosją.

Kiedy już w Warszawie w 1885 roku Walery Przybrowski zaczął wydawać dziennik p. t. „Chwila“, wygłaszający konieczność zgody z istniejącym stanem politycznym i z przynależnością do caratu, to pismo to, dla braku prenumeratorów, po kilku miesiącach, przestało wychodzić. A było to w czasie, kiedy ogromna większość społeczeństwa wyznawała „program pracy organicznej“.

Przedtem jeszcze, bo w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 r., powstała pierwsza po powstaniu tajna i spiskowa

\*) Zwykle przytacza się jako dowód, że program „pracy organicznej“ oznaczał zgodę z losem — art. Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Wskazania polityczne“, otóż Wł. Smoleński w swych wspomnieniach wykazuje, że art. ten w „Ognisku“ zamieszczony był wbrew Komitetowi Redakcyjnemu.

grupa patrijotyczno-rewolucyjna, założona przez Adama Szymańskiego, późniejszego autora „Szkiców“, do której też należał i Jan Ludwik Popławski jeden z twórców narodowej demokracji. Grupa ta postawiła sobie za cel pracę narodową, mającą na celu przygotowanie narodu do później mającej nastąpić walki o niepodległość.

Ponieważ pewne sfery angielskie, w czasie tej wojny, zwracały się do niektórych emigrantów z propozycją wywołania w Polsce, a właściwie w zaborze rosyjskim, powstania, celem sparaliżowania akcji Rosji na Bałkanach — więc należało się w sprawie tej wypowiedzieć.

Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeź), do którego ze strony tych sfer angielskich zwracano się także, dał odpowiedź odmowną, wychodząc z założenia, że Polska nie jest przygotowaną do takiego ruchu zbrojnego. To samo zrobiła organizacja Adama Szymańskiego; tylko pewna mała grupa emigrantów w Galicji, w Rzymie i w innych krajach chciała wywołać dywersję na tyłach armji rosyjskiej, ale nic z tego w końcu nie wyszło, a grupa Szymańskiego z Popławskim i innymi została aresztowana, a uczestnicy jej zesłani albo ukarani w inny sposób.

Wzrastający ucisk w Królestwie za rządów generał-gubernatora Hurki, który się rozpoczął w 1883 roku, oraz wydarzenia w zaborze pruskim, z którego najpierw usunięto około 30 000 Polaków, niemających obywatelstwa pruskiego i wogóle niemieckiego, a w którym w rok później w 1886 utworzono komisję kolonizacyjną z kapitałem 100 milionów marek przeznaczonym na wykupienie z rąk polskich i oddanie jej kolonistom, sprowadzonym z Niemiec — spowodował wielkie niezadowolenie wśród Polaków, podważył w lepszej części narodu program „pracy organicznej“.

Wynikiem tego było powstanie w 1886 roku „Ligi Polskiej“ z inicjatywy wielce zasłużonego Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) organizacji spiskowo-rewolucyjnej, mającej na celu odbudowanie Polski, jako państwa niepodległego w granicach historycznych, t. j. przedrozbiorowych, a więc do Dźwiny i Dniepru. Państwo to miało być federacją\*\*).

Nie mogę tu wchodzić w szczegółowe omawianie ani tego programu, ani sprawy organizacji „Ligi“, poprzestane tylko na paru uwagach.

Otóż program ten był politycznym programem powstania 1863 r. Słabą jego stroną było nieliczenie się z rzeczywistością i uważanie za możliwe stworzenie państwa polskiego aż pod Dźwinę i Dniepr; państwo takie zawierałoby zbyt dużo żywiołów niepolskich.

Program nie zawierał żadnych wskazań politycznych na czas bliższy, w granicach istniejącej rzeczywistości, ale był o tyle ostrożny, że uważał, iż ruch zbrojny, mający na celu odbudowanie Polski powinien wybuchnąć tylko przy odpowiednich warunkach zewnętrznych i wewnętrznych; dlatego też „Liga Polska“ nie dążyła do bezpośredniego wywołania powstania, zalecała natomiast obronę narodu zapomocą akcji terrorystycznej, podobnej do tej, jaką prowadzili Irlandczycy przeciwko Anglii i rewolucyjni Rosjanie przeciwko własnemu rządowi despotycznemu.

Jeź w broszurze p. t. „Rzecz o obronie czynnej i Skarbie Narodowym“ zalecał tę broń w walce, jak również utworzenie „Skarbu Narodowego“, mającego na celu wspomaganie organizacji w realizowaniu jej celów.

Jednocześnie w Warszawie, od 1 października 1886 r., zaczął wychodzić demokratyczny i to radykalnie tygodnik p. t. „Głos“. Było to bardzo dobre pismo, które głosiło zasadę „podporządkowania interesów wszystkich warstw narodu interesom ludu“; przez lud zaś rozumiało włościan

i robotników różnej kategorii, a częściowo i drobno-mieszczactwo.

„Głos“ był organem postępowym t. zn. wolnomyślnym, stojącym na gruncie naukowo-doswiadczalnym, obcym polityce wyznaniowej, niezwalczającym religii, ale uznającym niezależność nauki w jej dociekaniach, dotyczących najwyższych zagadnień życia i bytu.

Skupili się przy tem piśmie ludzie wówczas względnie młodzi, jak: J. K. Potocki (pseud. M. Bohusz) bardzo wykształcony przyrodnik i psycholog, a częściowo i socjolog, Jan L. Popławski, Mieczysław Brzeziński, zasłużony działacz ludowy i popularyzator nauk przyrodniczych w wydawnictwach przeznaczonych dla włościan. W „Głosie“ pracowali też i niektórzy dawniejsi działacze socjalistyczni, jak np. Al. Więckowski, Zygm. Heryng i inni.

Otóż niektórzy członkowie redakcji „Głosu“ m. in. Popławski, Hłasko należeli także do „Ligi“. Była też grupa ludzi skupiających się koło M. Brzezińskiego, pracujących na polu oświaty ludowej, jako grupa była ona nielegalna, ale pracowała legalnie w tym sensie, że wydawała tylko utwory legalne i zawierała stosunki osobiste z włościanami.

Wśród młodzieży powstał nieco później „Związek Młodzieży Polskiej“, była to organizacja tajna i hierarchiczna o trzech stopniach.

Wszystkie te żywioły były formalnie pod władzą „Ligi Polskiej“. „Głos“, nie będąc pismem socjalistycznym, sympatyzował z ruchem socjalistycznym, zamieszczał dużo artykułów o stosunkach robotniczych w kraju i zagranicą.

Pomiędzy krajowymi a zagranicznymi członkami „Ligi Polskiej“ były pewne różnice w poglądach: Pierwsi byli mniej rewolucyjni od drugich: nie negując potrzeby akcji w tym sensie nie myśleli o niej w czasie bliższym, odkładając ją ciągle. Pod względem socjalnym krajowi byli radykalniejsi od emigrantów.

Zwolenników „Ligi Polskiej“ i grup jej podległych nazywano wówczas patrijotami.

O Romanie Dmowskim w roku 1886, ani w paru latach najbliższych, nie było nic słyhać. Był on studentem uniwersytetu na wydziale przyrodniczym i studjował zoologję. Dopiero w latach 90-tych zaczął pisywać pod pseudonimem Romana Skrzyckiego i najpierw nie tyle w „Głosie“, ile w „Życiu“, tygodniku literacko-społecznym. Były to artykuły społeczno-psychologiczne, dotyczące naszego społeczeństwa.

W czasie pierwszej manifestacji patrijotycznej w dniu 3 maja 1891 r. był już czynny i za to został decyzją władz administracyjnych wydalony z Warszawy.

Dmowski nigdy nie był ani socjalistą, ani sympatykiem socjalizmu, ale zdawał się być szczerym demokratą.

W 1892 roku napisał broszurę bezimienną, w której wskazywał na to, że granice przyszłej Polski nie mogą być ani czysto historyczne, ani czysto etnograficzne, lecz będą czemś pośrednim, w czem miał słuszność; doradzał też akcję terrorystyczną przeciwko rządowi rosyjskiemu. Roli decydującej w „Lidze Polskiej“ wówczas nie odgrywał i bardziej znany w społeczeństwie Popławski miał nad nim dużą przewagę organizacyjną. Dopiero pod koniec wieku XIX Dmowski zaczyna w ruchu odgrywać rolę bardzo wybitną.

\* \* \*

Dmowski zyskał na znaczeniu w organizacji po swej pierwszej podróży zagranicę.

Dziwna rzecz, ani Popławski, mieszkający od 1895 czy 1896 we Lwowie, ani Zygmunt Balicki, mieszkający bodajże aż do końca wieku ubiegłego w Szwajcarii (Genewie), nie mieli tego popędu, zdawało się, naturalnego u polityków do poznania wewnętrznego życia wielkich państw europejskich, do zetknięcia się choćby z ułamkiem świata politycznego Zachodu; nie mieli tego sprytu, który powinien był im mówić, że poznanie stosunków zagranicznych na miejscu jest konieczne. Dmowski to zrozumiął i pojechał zagranicę,

\*\*\*) Program „Ligi Polskiej“ wraz z ustawą organizacyjną ogłoszony został w książce Mieczysława Mazowieckiego p. t. „Historja Ruchu Socjalistycznego w Zaborze Rosyjskim“, str. 110—118.

a później robił to często i chociaż znajomość państw innych jest u niego nader powierzchowna, z powodu jego pociągu do łatwych uogólnień i paradoksów, to jednak te wyjazdy pomogły mu przedewszystkiem do zdobycia wpływu we własnym obozie, gdyż zaczął uchodzić wśród swoich za wyrocznię polityczną, jako „znawca”. Jedną z cech umysłowo-moralnych Dmowskiego jest ideowe korzenie się przed siłą rzeczywistością, czy fikcyjną; stąd wypływa u niego konserwatyzm, a nawet wsteczność, stąd jego zoologiczny nacjonalizm.

Nacjonalizmy rosyjski i pruski wywarły na jego wyobraźnię potężny wpływ, który uwidocznił się w jego artykułach, a przedewszystkiem w „Myślach nowoczesnego Polaka”.

W końcu wieku ubiegłego Dmowski zrobił zamach stanu w „Lidze Polskiej”; przeobraził ją na „Ligę Narodową”. Zamach ten polegał na tem, że cechy demokratyczno-rewolucyjne tej organizacji praktycznie i tak niknące, całkowicie zginęły. „Liga” nowa, czyli „Narodowa” pozostała jako ciało spiskowe; obok niej zaś utworzono stronnictwo demokratyczno-narodowe, jako ugrupowanie szersze i jakby pół legalne w zaborze rosyjskim i pruskim, a jawne w Galicji. Było to może zrobione dla ośmielenia ludzi bojaźliwych i ułatwienia im wstępowania do stronnictwa.

W zaborze rosyjskim stronnictwo się rozwijało i składało się ono z dwu żywiołów: 1) z cichych, skromnych pracowników prowincjonalnych po wsiach, miastach i miasteczkach, prowadzących pracę kulturalno-oświatową, z lekarzy, adwokatów, techników i urzędników prywatnych, którzy nawiązywali stosunki osobiste z włościanami, drobnomieszczaństwem, rozdawali im książki popularne legalne, prowadzili rozmowy, a później rozpowszechniali „Polaka”, wydawanego w Galicji i redagowanego przez Popławskiego, w którym były artykuły historyczne, wiadomości z literatury w duchu polskim, ale brak było zupełnie ściśle politycznych i społeczno-gospodarczych, opartych na jakimś określonym programie politycznym; 2) z polityków, prowadzących nieśmiałą akcję bez żadnych wytycznych na dziś, zwalczających tylko inne stronnictwa polskie. Pierwsza grupa pozostawiała zupełnie wolną rękę drugiej, wierząc w jej uzdolnienia polityczne.

Dmowskiemu, jako „politykowi praktycznemu” chodziło o to, aby zdobyć jaknajwięcej zwolenników, wszystko jedno jakich i jakim sposobem.

W końcu pierwszej połowy lat 80-tych zaczął wychodzić w Warszawie tygodnik antysemitki „Rola”, redagowany przez Jana Jeleńskiego, publicystę zajmującego się przeważnie sprawami gospodarczymi. Pismo to było jaskrawo antysemitki, antymasońskie, klerykalne, antyniemieckie, antypozytywistyczne, antyracjonalistyczne i antyliberalne, ale nie antyrosyjskie, gdyż takiem być nie mogło. W krótkim czasie po 3 do 5-ciu latach zdobyło ono mnóstwo prenumeratorów. Artykuły jego, pisane z ogromnym tupetem, brutalne i przeważnie o bardzo niskim poziomie, zwalczające niezależną naukę, upatrujące wszędzie intrygę masońską, powitane było radośnie przez reakcyjne, mało oświecone warstwy narodu. Zacořana część drobnomieszczaństwa, drobni urzędnicy, klerykali obawiający się wiedzy niezależnej, część mniej światła duchowienstwa, a także znaczna część obywateli wiejskich, mało inteligentnych — oto żywioły popierające „Rolę”.

„Głos” w pierwszych latach swego istnienia wyśmiewał „Rolę”; często nawet piętnował jej obskurantyzm, zwolna jednak, szczególnie po tragicznej śmierci J. K. Potockiego, zaczął ulegać jej nastrojowi, imponowało mu jej powodzenie i wpływ w szerokich kołach. Już w latach 1889-tych i następnych ujawniły się tego dowody, początkowo sporadyczne, później, w końcu lat 90-tych, coraz większe.

Wreszcie w początkach XX wieku, równolegle do wzrostu wpływu Dmowskiego w organizacji, idee „Roli”

zdoływały coraz większy wpływ i zastępować zaczęły idee dawnego „Głosu”. Jeleński zwyciężył.

Nie mam tu miejsca na cytaty, ale możnaby napisać całą książkę, w której łatwo wykazać, że obecna zwłaszcza fizjognomja Stronnictwa Narodowego, jest spadkobierczynią poglądów redaktora „Roli”.

Wiek XX rozpoczął się burzliwie: w Rosji wybuchnęły wielkie rozruchy młodzieży w wyższych zakładach naukowych, które wywarły silny wpływ na bardzo znaczną część inteligencji; u dołu zaczął się rozwijać silny ruch robotniczy, prócz tego zaś od 1901 r. rozpoczęta została akcja terrorystyczna przeciwko najwyższemu dygnitarzom państwa; w Królestwie wzrósł ruch socjalistyczny, a w innych państwach, chociaż nie w tak gwałtownej formie, zarysowało się bardziej intensywne życie społeczno-polityczne.

Jakie stanowisko wobec tego zajęła demokracja narodowa i wódz jej Roman Dmowski?

Przez pierwsze lat kilka, prawie aż do samej rewolucji październikowej w 1905 roku, narodowa demokracja, której wówczas już przewodził niepodzielnie Dmowski, sądziła, czemu dobitny wyraz dawała w swych organach, że absolutyzm rosyjski przetrwa wszelkie burze, że nic nie zdoła go obalić. Dowodziło to zupełnego braku zorientowania się w sytuacji politycznej. Na dowód powyższego twierdzenia przytaczam tu krótki ustęp z jednego artykułu naczelnego organu jej myśli politycznej z „Przeglądu Wszechpolskiego” z 1906 r.

„W istocie rzeczy sprawa państw rozbiorowych poza granicami ziem polskich przez długi czas stosunkowo mało nas zajmowała. A nawet nie byłby daleki od prawdy ten, kto by nas oskarżył, żeśmy byli zwolennikami abstynencji w tym względzie... ..Słusznie nam można zarzucić, że nawet zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim grozi naszym interesom narodowym tchórzliwość i rusyfikowanie polityczne grupy ugodowej, sami nie jesteśmy zdolni przeciwstawić jej nic więcej prócz ogólnikowych aspiracji. Mam na myśli program potrzeb kraju, nie zaś pracę kulturalną i polityczno-wychowawczą(?), na tem bowiem polu zrobiliśmy bardzo wiele (chyba nie na polityczno-wychowawczem — przypisek autora niniejszego artykułu). ...Możemy sobie szczerze zupełnie powiedzieć, że wobec nowej sytuacji, wytwarzającej się obecnie w państwie rosyjskiem, społeczeństwo nasze stoi jaknajgorzej przygotowane. Nie pójdzie ono ani za socjalistami, ani za ugodowcami... Ale gdyby nawet cało chciało iść za nami, to czyż możemy powiedzieć, żeśmy przygotowani do poprowadzenia go pewną drogą?”.

Słowa te, szczerze napisane, wypowiedziane były po 20 latach istnienia organizacji politycznej. Jak to nie interesowała się ona tem, co się dzieje w państwie, do którego należała ogromna, przytłaczająca, przeważająca część dawnej Polski, zamieszkała przez przeszło połowę rodowitych Polaków? Cóż powiedzieć o przywódcach podobnego stronnictwa? O jego szefie, który obojętnie przysłuchiwał się wypadkom w Rosji, o których świat cały pisał?

W kilka miesięcy później drugi obok Dmowskiego teoretyk polityczny stronnictwa Zygmunt Balicki (Ostoja) uspokoiwszy się nieco, dowodził z dumą i właściwym mu patosem, że tylko demokracja narodowa miała i ma jasną świadomość tego, co robić należy.

Tenże sam Balicki pisał w 1898 r. w kwartalniku „Przeglądu Wszechpolskiego”, w artykule „Niepodległość wewnętrzna”, że najwazniejszym naszym zadaniem jest wyzwolenie duszy polskiej z wpływów obcych rosyjskich, niemieckich, francuskich i innych, że z chwilą, kiedy to osiągniętem zostanie, to niepodległość zewnętrzna, t. zn. państwowa będzie już łatwą do osiągnięcia.

Niedługo później, Dmowski, rozkochawszy się w duszy najpierw angielskiej, a później japońskiej, w stosunku do teorii Balickiego zrobił ubocznie pewne zastrzeżenia.

Wszystkie te „wywody“ o obcych wpływach, o niepodległości wewnętrznej, o pracy wychowawczo-politycznej, zaskoczenie stronnictwa przez wypadki, cała ta wstrzeźliwość w politycznym uświadamianiu narodu i sprowadzanie akcji czynnej wśród ludu tylko do wspomnień historycznych, tak jak później jeszcze, a także i dziś wysuwanie na plan pierwszy naszych zadań sprawy żydowskiej, wszystko to jest wynikiem chęci unikania walk trudnych i ryzykownych, wymagających ofiar.

Za czasów rządów carskich narodowym demokratom, przy ich stosunkowej bierności, względnie dobrze się powodziło: ich działalność karana była lekkimi wyrokami. Podczas kiedy innych wysyłano na zesłanie do miejsc odległych, na katorgę, lub też skazywano na długie samotne więzienie, oni wysyłani byli do Rosji, Odesy, albo skazywani byli na kilka miesięcy więzienia.

A ileż zdziałać byliby mogli, gdyby prowadzili prawdziwą, polityczną i narodową zarazem propagandę wśród ludu wiejskiego. Ale ta była dla nich zbyt ryzykowną.

Słabą również stroną ich akcji narodowej było to, że nie rozumieli tego, jak i dziś nie rozumieją, że naród nie może być potężnym, jeżeli najliczniejszym warstwom jego powodzi się źle, albo nawet bardzo źle; poza pierwszymi latami ich stronnictwa, za lepszych czasów „Głosu“, dobrobyt szerokich mas był im obojętny.

Chociaż po wybuchu I rewolucji rosyjskiej narodowa demokracja wystawiła, zmuszona okolicznościami, nowy program z żądaniem autonomii, idąc za innymi w tym względzie, powszechnego prawa głosowania z postulatami reform społecznych, to jednak, kiedy P. P. S. zorganizowała pierwszy strajk robotników rolnych, spokojny, bez żadnych ekcesów, z umiarkowanymi żądaniami podwyższenia płacy, to przeciwstawiła mu się z całą nienawiścią, upatrując w tem zamach na „interesy narodowe“.

W tym czasie, pomimo zapierania się, stała ona na gruncie interesów klas posiadających. Tylko w czasach, w których jest pod wpływem strachu godzi się ona na pewne reformy społeczne. Tak było podczas pierwszego Sejmu w niepodległej Polsce, kiedy godziła się na reformę rolną. Wówczas nawet z tego strachu wysunęła ją na plan pierwszy.

Dmowski znalazł się wreszcie w rosyjskiej Dumie Państwowej (w II-giej). Po okresie zupełnej niewiary w możliwość upadku absolutyzmu, nastąpił gwałtowny zwrot i politykowi temu raptem zaczęło się zdawać, że Duma jest parlamentem angielskim, w którym panuje lojalność w stosunkach pomiędzy stronnictwami, oraz pomiędzy nimi a rządem; skutkiem tego postanowił on naśladować wielkiego polityka irlandzkiego Parnella, który, chcąc zdobyć dla swego kraju możliwie wielkie koncesje, postanowił być jęczyciem u wagi i głosować raz za konserwatystami, raz za liberałami, aby w ten sposób, szachując ich, zyskać koncesje, co mu się udawało do pewnego czasu.

Niestety Duma nie była parlamentem angielskim i tego rodzaju taktyka nietylko nie przyniosła żadnych korzyści Królestwu i Polakom wogóle, ale doprowadziła do katastrofalnego zmniejszenia liczby posłów z Królestwa o 2/3 ich liczby przez niekonstytucyjne zmienienie ordynacji wyborczej przez cara. Polityka Dmowskiego nie zmusiła rządu do ustępstw, nie zjednała go, rozdrażniła zarazem opozycję rosyjską przeciwko nam.

Również błędną była polityka jego w stosunku do innych narodowości, zamieszkujących państwo rosyjskie. Zdawało mu się, że współdziałanie z klubem autonomistów, który był wyrazem ich dążeń w Dumie, ubliża nam, gdyż równa nas z małymi i niżej od nas stojącymi narodami. Zdawało mu się, że tak jak w Austrii i Węgrzech były narody pierwszej i drugiej rangi, a więc Niemcy i Węgrzy mające w dwu parlamentach przeważające znaczenie niż

inne; tak w Rosji Polacy mieć będą stanowisko uprzywilejowane w porównaniu z innymi narodami.

Otóż niestety Rosja nie była Austro-Węgrami. Ustosunkowanie się sił narodowych w państwie carów inne było niż w monarchji Habsburgów. O zdobyciu przez nas w caracie jakiegóż uprzywilejowanego stanowiska mowy być nie mogło. W interesie polskim leżało możliwie silne ograniczenie absolutyzmu przez odpowiednią konstytucję i możliwie znaczne zdecentralizowanie państwa. Dlatego też należało konsolidować wogóle żywioły opozycyjne, w szczególności zaś narodowo-decentralistyczne.

Oczywiście i taka polityka mogła na razie się nie udać, ale byłaby to polityka logiczna, rozumna, mająca znaczenie na przyszłość, w razie chwilowego niepowodzenia.

Później Dmowski postawił na kartę polityki słowiańskiej (neoslawizmu), chcąc w ten sposób zyskać poparcie rządu i żywiołów konserwatywno-reakcyjnych, ale i to mu się nie udało. Umizgi do rządu skończyły się wyłączeniem Chełmszczyzny z Królestwa i upaństwowieniem kolei warszawsko-wiedeńskiej. Słowem Dmowski przed wojną był bankrutem politycznym, zwłaszcza po strajku szkolnym, dążącym do zaprowadzenia w szkołach języka polskiego, który ostro zwalczał.

\* \* \*

Przyszła wielka wojna światowa, w której zdawało się, że Dmowski się odegrał, a nawet więcej, okazał swój genjusz. Zobaczmy czy tak było istotnie, czy też był to triumf pozorny.

Zgóry zaznaczam, że nie mam tu zamiaru poruszać w całej pełni zagadnienia słuszności czy niesłuszności tej, czy innej orientacji, a to dla dwu powodów: 1) raz dlatego, że każda z dwu zasadniczych miała strony słabe; 2) powtórę dlatego, że niedaleka może już przyszłość ostatecznie sprawę tę rozjaśni, że więc obecnie, wobec danych niezupełnych, nie ma powodu rozstrzygać tego zagadnienia.

Natomiast można z całą pewnością ustanowić fakty następujące:

Niepodległa Polska mogła powstać tylko pod warunkiem przegrania wojny przez Rosję i Niemcy. Istotnie, w razie zwycięstwa Rosji otrzymalibyśmy, w najlepszym razie samorząd administracyjny ziem etnograficznie polskich, złożonych z Królestwa bez Chełmszczyzny i Suwalszczyzny, z Galicji Zachodniej, Wschodnia bowiem włączona byłaby do Rosji i może, co jednak jest niepewnym, z Poznańskiego.

Trudno bowiem przypuścić, aby Rosja zwycięska, która decydowała się niby na samorząd administracyjny ziem etnograficznie polskich, a nawet nie na ich autonomję polityczno-terytorjalną, chciała tworzyć w swem łonie względnie dużą prowincję polską, w skład której, obok wyżej zaznaczonych ziem, wchodziłyby jeszcze miały Pomorze i choćby ta część Śląska Górnego, którą mamy obecnie.

Co zaś do samorządu administracyjnego, to wiemy czem mógłby on być w rękach potężnej, zwycięskiej Rosji. Pod tym względem ciekawe są pamiętniki W. Ks. Mikołaja Michajłowicza, znanego historyka, wydane niedawno po niemiecku. Twierdzi on w nich, że odezwa W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza, jako wodza naczelnego, wydana do Polaków po wybuchu wojny, nie miała żadnego prawnopństwowego znaczenia, zarazem dziwi się dosłownie, że Polacy byli tak naiwni, że przywiązywali do niej jakąkolwiek wagę.

Jeżeli zaś chodzi o koalicję, to w razie wspólnego z Rosją zwycięstwa nie śmiałyby nigdy żądać od Rosji uniezależnienia od siebie ziem polskich.

Na początku wojny światowej był w Warszawie Ks. Dołgorukow, który przed paru laty przyjechał nielegalnie do Rosji, został aresztowany i rozstrzelany. Otóż ten poważny działacz, uczciwy i życzliwy nam, na pewnym zebraniu prywatnym mniej więcej twierdził to samo, co W. Ks. Mikołaj Michajłowicz.

Znowu w razie zwycięstwa państw centralnych, wobec przewagi Niemiec nad Austro-Węgrami, w których mieliśmy wpływy, nie mówiąc już o tem, że zabór pruski byłby dla nas, przynajmniej na czas bliżej nieokreślony, stracony; ale jeszcze część górniczo-przemysłowa Królestwa przeszłaby do Niemiec; pozostała zaś jego część, może z Podlasiem, Wileńszczyzną, Grodnem albo wraz z Galicją utworzyłaby trzecią część monarchji Habsburgów, jako państwo, a nie jej prowincja; mówimy oczywiście o sytuacji, w której Austria potrafiłaby oprzeć się naciskowi Niemiec w sprawie polskiej.

Dopiero przegrana najpierw Rosji, a później Niemiec umożliwiła powstanie niepodległego Państwa Polskiego. Ale może nam ktoś powie: zasługą zwolenników orjentacji koalicyjno-rosyjskiej było to właśnie, że po przegranej Rosji i Niemiec państwa zachodnie i Stany Zjednoczone A. P. zgodziły się na powstanie niezależnego państwa polskiego. Otóż przypuszczenie takie jest z gruntu błędne. Cóż bowiem miały państwa te zrobić z temi terytorjami? Czy oddać Rosji bolszewickiej, aby dopuścić do komunizmu w Europie Środkowej, czy może oddać je Niemcom, które z takim trudem tylko co pobiły, czy oddać nieistniejącej już monarchji Habsburgów, którą rozbiły. A przecież trudno było oddać Polskę Czechosłowacji, Rumunii albo Łotwie. Trzeba więc było zrobić ją wolną tak, jak wolną została Finlandja naprzykład, chociaż wcale orjentacji koalicyjnej nie miała.

Chcąc być bezstronnym można, a nawet trzeba, uznać zasługi tych, co już po powzięciu decyzji utworzenia Polski jako niezależnego państwa brali czynny udział w pertraktacjach, a więc w pierwszym rządzie Paderewskiego, który zjednał dla nas Wilsona, co wielkie miało znaczenie, a następnie i Dmowskiego; ale nie jego orjentacja spowodowała powstanie naszego państwa, lecz okoliczności wyżej wskazane.

Tak samo uznać należy, że powstanie Legjonów przy Austrii i działalność Naczelnego Komitetu Narodowego były czynnikami ważnymi, które spopularyzowały sprawę polską i spowodowały akt listopada 1916 r. poraz pierwszy mówiący o niepodległości Polski. Ale tak samo byłoby błędem powstanie państwa polskiego tym żywiołom przypisywać. Ostatecznym czynnikiem decydującym po porażce Rosji i Niemiec była II rewolucja rosyjska, która wywróciła carat i która uznała niepodległość Polski, co prawda po stracie Królestwa i części prowincyj zachodnich.

W rachubach zaś Dmowskiego, jak i całego jego obozu, czynnik ten żadnej roli nie odgrywał.

Taki jest zupełnie bezstronny, rzeczowy pogląd na wynik wypadków od 1914 do 1919 roku, aż do Traktatu Wersalskiego.

Wreszcie odzyskaliśmy niepodległość. Zebrał się Sejm jeden, drugi; powstały rozmaite kolejno po sobie następujące rządy. Jaką w tem wszystkim grał rolę Dmowski? Był posłem do pierwszego Sejmu, był członkiem Rady Obrony Państwa w 1920 roku, był wreszcie — cprawda krótko — w 1923 r. ministrem spraw zagranicznych. Jaką wykazał na tych stanowiskach i w różnych towarzyszących im pracach inicjatywę?

Dmowski okazał się jeszcze nieprzewidującym politykiem i w tem, że lekceważył zupełnie ruch ukraiński i litewski, a wypadki, zwłaszcza pod koniec wojny światowej wykazały, że się mylił.

Co zaś do odpowiedzi na pytania wyżej postawione, to stwierdzić należy, że polityk ten niczem wydatnem się nie zaznaczył, ani na terenie ustawodawczym, ani w czasie kierowania naszą polityką zagraniczną. Bardzo prędko się zmęczył, usunął się z Sejmu, z Rady Obrony Państwa, odszedł też z rządu; później nie próbował wchodzić do nowo tworzących się, a nawet napisał gdzieś i oświadczył, że woli wrócić do opracowywania dzieł politycznych i zaczął je wypuszczać w świat, sądząc, że robi w nich jakieś wielkie

oryginalne spostrzeżenia. Przytoczę tu tylko parę przykładów, gdyż nie mam dość miejsca na rozbiernie wszystkich jego twierdzeń. Jednem z jego „odkryć“ miało być, że następuje kryzys ekonomiczny, na którym straci najwięcej Anglja. Dmowski nieraz wspominał o tem, że przed tem nikomu się nie śniło o tem, że on nastąpi.

Otóż twierdzenie to zdradza zupełnie jego ignorancję w zagadnieniach socjalno-ekonomicznych; aby już nie wspominać o pisarzach poprzedzających rok 1848, przypomnę tylko czytelnikom, że marksizm, poczynając od słynnego manifestu komunistycznego, który właściwie wyszedł w tym roku, po przest „Kapitał“, który wyszedł w r. 1867, a aż do czasów ostatnich literatura socjalistyczna aż do znudzenia pisała o tem, że nadejdzie czas załamania się ustroju współczesnego, t. j. wielkoprzemysłowego kapitalizmu. Nawet popularno-agitacyjna literatura ciągle o tem wspominała.

Drugiem odkryciem Dmowskiego, późniejszym nieco od poprzedniego, było twierdzenie, że Rosja przestaje zajmować się Europą i staje się tylko państwem azjatyckiem.

Otóż i tu nie zorientował się on, jak zwykle, w sytuacji. Nie rozumiał on tego, że Rosja, walcząc w Azji, dąży przedewszystkiem do podkopania potęgi Anglii i Francji przez zaatakowanie ich posiadłości. Rosja Sowiecka nie myśli wcale wychodzić politycznie z Europy, lecz przeciwnie pragnie przenieść na Zachód swój ustrój polityczny, tracąc ciągle olbrzymie sumy na propagandę komunizmu w innych państwach w naszej części świata.

Jeżeli zaś, skutkiem antagonizmu z Japonją, pomimo rozwoju swej armji i tego wszystkiego co ją wzmacnia, wojny nie prowadzi obecnie ze swymi sąsiadami w Europie, to tylko dlatego, że boi się tejże Japonji.

Ostatnie polityczne posunięcia Rosji, jej wejście do Ligi Narodów, jej Traktat z Francją dowodzą wymownie, że pragnie ona być potęgą w Europie, a nie tylko w Azji. Więc i w tym względzie Dmowski się pomylił i żadnych odkryć nie zrobił.

Kiedy Mussolini zdobył Rzym, Dmowski popadł w zachwył. Pod jego wpływem narodowi demokraci zaczęli usilnie zwalczać „przeżyty parlamentaryzm i demokrację“; myśleli, że oni także potrafią zdobyć Warszawę. Biedacy pomylili się. Zapomnieli bowiem, że w Polsce jest człowiek i są ludzie mu oddani, którzy daleko lepiej i zręczniejsz zrobią to od niego. Zapomnieli, że sami nigdy nie odznaczali się zbytnią odwagą i zdolnością do decyzyj stanowczych.

Po pewnym czasie Dmowski z wielkim rozmachem i z dużą reklamą zorganizował „Obóz Wielkiej Polski“. Miała to być organizacja niby niezależna od narodowej demokracji, a jednak jakoś z nią związana. Właściwie nie wiadomo, dlaczego powstała, bo ani nowego programu, ani nowej taktyki nie wytworzyła. Wydano kilka broszur, urządzono dziesiątki wieców, ale nie stworzono żadnego określonego prądu ideowego. Nie było tu ani wielkich idei kierowniczych, ani szczegółowych i konkretnych wskazań politycznych. Był tylko tupet. Jednakże wkrótce obóz ten rozwiązano i nic prawie po nim nie pozostało trwałego. Widząc, że jest źle, że o dojściu do władzy mowy być nie może, Dmowski wpadł na dowcip, który go w ciężkich chwilach nie opuszcza i stworzył teorię dla swych zwolenników, na chwilę obecną.

Oto twierdzi, że „sanacja“ pracuje dla jego obozu. Oczywiście, ma ona pewne wady, za mało mówi o narodzie, ale wielką jest jej zaletą, że nie lubi demokracji i zwalcza parlamentaryzm. Szkoda tylko, że z masonerją i żydami jest niewyraźnie, z Ukraińcami jest niedobrze, że z finansami jest źle, że są jeszcze inne zła, ale wszystko to są rzeczy mniejsze, byle tylko nie było powrotu do demokracji parlamentarnej, liberalizmu i t. p.

Pociesza się on tem, że „sanacja“ się skończy w ten czy inny sposób, a narodowa demokracja odziedziczy ustrój

autorytatywny po niej i będzie mogła rządzić nie licząc się z innymi stronnictwami. Co za sen pociągający, nieprawda?

Ale tu spotkał tego polityka zawód. Oto bowiem znaleźli się wśród jego zwolenników ludzie niecierpliwi i mniej od niego optymistycznie nastrojeni, a bardziej zarazem konsekwentni, którzy powiedzieli sobie, skoro mamy podobne poglądy z „sanacją“, to czyż nie jest pewniej i lepiej nie czekać na jej upadek i wątpliwą po niej sukcesję, ale teraz już się z nią porozumieć?

Powiedziawszy to, ludzie ci, po pewnym czasie wystąpili ze stronnictwa i utworzyli oddzielną niby grupę „niezależną“, zezującą coraz wyraźniej w stronę „sanacji“.

Później inni znowu uznali, że skoro sprawa żydowska jest tak groźna dla Polski, a przytem najważniejszą, to trzeba przedewszystkiem rozbijać sklepy żydowskie i atakować ich w rozmaity sposób, aby osiągnąć w ten sposób ucieczkę 3 200 000 żydów z Polski. Akcję tę zapoczątkowano. Narodową demokrację ogarnął ferment, który się jeszcze nie skończył; wobec tego sukcesja po „sanacji“ jest coraz bardziej wątpliwą.

Starzy w narodowej demokracji są bezsilni: nad jednymi z nich Dmowski ma bezwzględna władzę i dlatego słuchają go ślepo; inni, rozumniejsi, a są pomiędzy nimi

i ludzie inteligentni, a nawet osobiście sympatyczni, ale czy to z braku energii, czy z niewiary w możliwość poprawy sytuacji w stronnictwie, są bezczynni i nie przeciwstawiają się Dmowskiemu. Inni wreszcie z powodu złe pojmowanego obowiązku względem partji woła raczej patrzeć na jej powolny upadek, aniżeli zdecydować się na nowe przesilenie wewnętrzne.

Widzimy więc, że Dmowski, który nie był zresztą twórcą narodowej demokracji, był tym właśnie, który od końca wieku zeszłego obniżał ciągle jej poziom, pozbawiał ją stopniowo wszelkich pierwiastków zdrowego idealizmu. Widzimy, że Dmowski w postępowaniu swoim nie miał żadnych idei przewodnich, lecz działał od wypadku do wypadku, że ważne przeobrażenia dziejowe zaskakiwały go, że w większości wypadków jego przewidywania polityczne okazały się błędnymi, że w czasie budowy naszego państwa usuwał się od odpowiedzialności osobistej, że i dziś nie daje swemu stronnictwu żadnych konkretnych wskazań, lecz poprzestaje na ogólnikach, że nie czuwał i nie czuwa nad jego jednolitością, lecz sam się przyczynił do panującego w niem dziś chaosu, że on jest przyczyną tych różnych w niem rozłamów, a w końcu zostawia po sobie ruinę i pustkę ideową.

ANTONI BĄDKOWSKI

## Kult bezmyślności.

*Każdy, kto śledzi choć trochę naszą prasę, a nawet naszą ubogą literaturę polityczną, musi zauważyć, że właściwie w Polsce współczesnej niema żadnej wymiany myśli.*

Istotnie, publicyści rozmaitych stronnictw dużych i małych wygłaszają swe poglądy w różnych sprawach, zarówno ogólnych, zasadniczych, jak i specyjalnych bieżących. Poglądy te oczywiście nie pokrywają się, lecz przeciwnie odbiegają od siebie bardzo daleko i nie wywierają na siebie żadnego wpływu. Nie chodzi tu o to, aby koniecznie jeden pogląd we wszystkich punktach odniósł całkowite zwycięstwo nad innym, co wogóle rzadko bardzo się trafia, choćby dlatego tylko, że ludzie wyznający je nie lubią znać się za pobitych, wówczas nawet, gdy ich przegrana jest widoczna, *lecz o to, aby widać było, że jedni czytają, czy też słyszą poglądy innych i odwrotnie i czują się w obowiązku na zarzuty przeciwko swym twierdzeniom wypowiedziane odpowiedzieć.*

Tymczasem jedni i drudzy powtarzają dalej swoje poglądy, nie uważając za stosowne posunąć dalej naprzód rozpoczętą dyskusję.

*W społeczeństwach naprawdę cywilizowanych zjawisko powyższe, w tych rozmiarach co u nas, nie istnieje.*

Zarówno na zebraniach publicznych, jak i w stosunku do polemiki w prasie, słuchająca i czytająca publiczność śledzi uważnie wymianę poglądów i starcia walczących ze sobą mówców, czy pisarzy i orjentuje się dobrze w tem, której ze stron brak jest argumentów. U nas jest inaczej. Dość jest rozpatrzyć kilka przykładów.

*Podczas dyskusyj w sprawach ustrojowych, trwających od szeregu lat, zwolennicy ustroju demokratyczno-parlamentarnego wskazywali na to często, że nie może być środka pomiędzy rządem odpowiedzialnym przed całym ustawodawczym, a rządem zależnym od głowy państwa nie tylko*

*w sensie formalnym, lecz i faktycznym, gdyż zawsze skończyć się musi na tem, że: albo w końcu parlament uzależni od siebie rząd całkowicie, mogąc mu wyrazić votum nieufności i zmusić do ustąpienia; albo odwrotnie, głowa państwa wbrew reprezentacji narodowej, uzależni rząd od siebie całkowicie; albo wreszcie będzie bałagan, powstały stąd, że rząd będzie zależny i od parlamentu i od głowy państwa (faktycznie) i nikt nie będzie odpowiedzialny. Fakty stwierdzają to rozumowanie.*

Otóż na te uwagi nigdy strona przeciwna nie odpowiedziała; oczywiście dlatego, że odpowiedzieć nie mogła. Zadawała się natomiast frazesem o silnym rządzie.

Kiedy omawiano sprawę wyborów proporcjonalnych i wskazywano na to, że tylko przy ich istnieniu większość w społeczeństwie pokrywa się z większością w parlamencie i że tam, gdzie niema tego systemu, to bardzo często większość w ciele ustawodawczym jest wyrazem mniejszości, *to na ten argument przeciwnicy proporcjonalności nigdy jeszcze u nas nie odpowiedzieli, a powinni byli to zrobić, gdyż sama zasada reprezentacji narodowej opiera się na uznawaniu prawa decyzji nie mniejszości, lecz większości.*

Kiedy przeciwnicy wyborów proporcjonalnych wyśmiewali głosowanie na listy, nazywając to głosowaniem na numerki, to *odpowiadano im słusznie, że ten numerki, oznaczający stronnictwo, oznacza zarazem program; a więc mówi więcej, niż nazwisko kandydata, innymi słowy, że głosowanie na listy jest bardziej uzasadnione, niż głosowanie na osoby, a to tembardziej, że każdy poseł wchodzi do jakiegoś stronnictwa i liczyć się musi z większością klubu jego w parlamencie. Na ten argument przeciwnicy proporcjonalności nigdy u nas nie byli w stanie odpowiedzieć. Leniwe, ubogie i zakute ich lby milczały!*

Zwolennicy demokracji politycznej, wysuwając ją na plan pierwszy, tam, gdzie jej niema oraz gdzie

istnieje formalnie, ale faktycznie nie obowiązuje — robią to nie dlatego, aby sądzili, że ona sama już usunie wszelkie niedomagania społeczne i inne, lecz z tego powodu, że ona tylko otwiera możliwość legalnego oddziaływania na ciała ustawodawcze i rząd, że ona tylko zapewnia swobodną pracę społeczną, mającą na celu zwalczanie ujemnych zjawisk w życiu zbiorowym.

*Otóż ci wszyscy, co z tych czy innych względów nie chcą, czy nie mogą walczyć o demokrację, zarzucają jej zwolennikom, że są oni tak naiwni, iż sądzą, że urzeczywistniona na terenie politycznym usunie wady ustroju społecznego.*

Bez demokracji politycznej nie można legalnie skutecznie pracować dla przeprowadzenia istotnych ważnych reform, gdyż te zależą od tych, co dorwali się do władzy i których w sposób pokojowy nie można usunąć i którzy „gwiżdżą“ sobie ze społeczeństwa, z rozmaitych jego odłamów, gdyż uważają się za mężów „wybranych“, albo opatrznosciowych, albo też przez jednostki opatrznosciowe wybranych.

Czyż tak nie jest?

Tak więc widzimy, że wymiany myśli politycznej w Polsce współczesnej nie ma.

*Przykładów podobnych do powyższych mógłbym przytoczyć bardzo wiele jeszcze, ale te wystarczą całkowicie.*

Biorę do ręki Nr. 1, z dnia 15 kwietnia r. b., X rocznika, dwutygodnika „Przełom“. W artykule wstępnym p. t. „Przed dalszym etapem“, niepodpisanym, a więc będącym wyrazem nie indywidualnych poglądów autora, ale całej redakcji, a zapewne i ogólnego zespołu osób, grupującego się koło tego pisma — wypowiedzianym jest pogląd, że „uchwalenie konstytucji jest sprawą ważną dlatego przedewszystkiem, że zamyka pewien etap rozwojowy „rewolucji majowej“, zakończa pewien okres psychiczno-polityczny. Przez długi — zbyt długi czas, konieczność konsolidacji państwa jako takiego, konieczność dokonania reformy konstytucji ciążyła nad całokształtem polskich spraw publicznych, nad polityką i taktyką obozu prorządowego, decydowała o linii wewnętrznej polityki rządu. Tej naczelnej potrzebie podporządkowane było wszystko; cały nurt życia polityczno-społecznego Polski ujęty był w wały dyscypliny konstytucyjnej, które zapewnić miały szczęśliwe przybycie do przystani: nowej, konsolidującej byt Polski, organizacji władz“.

Wskazawszy więc na to, że praca nad nową konstytucją, uniemożliwiła przystąpienie do realizowania głębokich reform, autor następnie owiany jest najpiękniejszymi nadziejami: „Obecnie, gdy nowa konstytucja została uchwalona, liczne tamy będą musiały być usunięte. Życie społeczno-polityczne popłynie szerszym korytem, bardziej wartkiem, głębszym nurtem. Droga staje otworem do przepracowania i rozstrzygnięcia szeregu natarczywie przez życie wysuniętych zagadnień politycznych, społecznych, narodowościowych, ustrojowo-gospodarczych... Ta praca — walka odbywać się może jedynie na gruncie nowego „statutu organizacyjnego“, w którego solidnych karbach nie przyniesie szkody sprawom najistotniejszym... Odbywać się może tylko w szrankach obozu, skupionego dla działania w myśl wskazań ideowych Piłsudskiego. Wszystko bowiem — poza odłamek komunistycznym — co jest dzisiejszą opozycją — wszystko to jest przeżytkiem i chaosem: chaosem z którego

nie narodzi się świat. Łącznie zaś z komunistami wszystko to jest szkodnictwem“...

Przytoczyłem ten długi ustęp niepozabawiony humoru. Przyznam się, że, czytając go, obracałem kartkę, aby się upewnić, czy to jest „Przełom“, czy też jakieś pismo humorystyczno-satyryczne. Istotnie, *trudno sobie bowiem wyobrazić coś bardziej zabawnego, jak artykuł organu „sanacyjnego“, zarzucający innym stronnictwom chaotyczność i brak myśli pozytywnej!*

Autor artykułu nie zdobył się nawet na sformułowanie reform, jakie pragnie przeprowadzić w Polsce po uchwaleniu nowej konstytucji, nie zrobili tego i inni w tym numerze. W artykule p. Jana Rybczyńskiego p. t. „Droga gospodarstwa polskiego“ znajdujemy same ogólniki o interwencji państwa nic konkretnego nie mówiące, powoływanie się zaś na „zasadnicze wskazania ideowe Piłsudskiego“ nie ratują sytuacji ideowej „Przełomu“, gdyż „wskazania“ te nie są dotychczas „niewtajemniczonym“ znane... Istotnie: ani w przemówieniach jego, ani w innych pismach nie znajdujemy poglądów ani na reformy socjalne, polityczne, ani na zagadnienia narodowościowe, gospodarcze, czy finansowe potrzebne dziś Polsce. Nie twierdzą, że tych wskazań wogóle niema, być może, że były one dane osobom niektórym, ale nie ogółowi; nie rozumiem więc dlaczego autor, wspominając o nich, robi z nich tajemnicę. Jeżeli nie były one przeznaczone do ogłoszenia, to nie należało o nich wspominać; skoro zaś powołano się na nie, to trzeba je wymienić. Milczenie zaś nie może być argumentem na korzyść twierdzenia, że „Przełom“ ma jakiś swój program. Wogóle jest to dowodem własnej słabości podszycania się pod cudze nazwisko i to osób znanych.

Ten wstępny artykuł jest zanadto naiwny, aby można go uważać za szczere wyznanie wiary „Przełomu“. Zestawiając ten artykuł z rzeczywistością, należałoby treść jego zupełnie z gruntu przerobić w sensie wprost przeciwnym.

Przedewszystkiem uchwalona tylko co konstytucja nie oznacza wcale konsolidacji państwa, lecz przeciwnie obawę przed możliwymi zmianami obecnego stanu rzeczy.

Normalny ustrój państwowy powinien być tak pomyślany, aby istniała możliwość zmian potrzebnych i dość znacznych bez wstrząśnień; tymczasem wspomniana konstytucja jest tak zredagowana, aby uniemożliwić zmianę istniejącego obecnie kierunku w rządzie, aby zapewnić osobom dziś u steru będącym, możliwie długie panowanie.

Oznacza ona zarazem obawę przed odpowiedzialnością, którą stwierdzają jeszcze wiadomości o przyszłej ordynacji wyborczej, polegającej na tem, że samorządy i inne organizacje o charakterze publiczno-prawnym będą wybierały kandydatów, na których tylko ogół obywateli będzie miał prawo głosować.

Tego rodzaju system wyborczy jest wynikiem strachu, obawy, aby nawet rozmaite sztuczki nie zdołały zapewnić większości w Sejmie.

Tylko ludziom bezgranicznie naiwnym i politycznym niemowłom taka konstytucja i taka ordynacja wyborcza przedstawiać się może jako wyraz siły. Nie — są to objawy paniki przed bliską przyszłością.

Nie mam tu zamiaru wchodzić w krytykę całej tej konstytucji, zostało to już zrobione w zakresie zupełnie wystarczającym. Tu chcę tylko to zaznaczyć, że dla opozycji obecnie lepiej jest, że właśnie

taki dziwoląg został uchwalony, ponieważ społeczeństwo nasze dość trudno się orientuje, jeżeli więc doprowadza się coś do absurdu, to wtedy otwiera mu to oczy.

Nie wiadomo, czy autor artykułu w „Przełomie” chce sam siebie omamiać, czy też naiwnie sądzi, że w błąd wprowadzi innych, twierdząc, że dopiero obecnie, po uchwaleniu tej konstytucji, otwiera się u nas perspektywa dla wielkich reform.

*Otóż wprost przeciwnie: właśnie konstytucja ta uchwalona została dlatego, aby ich nie przeprowadzić.*

Początkowo po maju 1926 roku, kiedy „sanacja” stapała jeszcze niepewnie, to liczyła się choć częściowo z pragnieniami pewnych reform; z chwilą jednak kiedy sądziła, że stoi coraz mocniej, coraz bardziej lekceważyła sobie żądania szerokich warstw narodu, coraz głębiej brnęła w reakcyjne błoto.

„Sanacja” pragnie pchnąć Polskę na tę drogę rozwoju, na jakiej znalazła się Hiszpanja; pragnie ona uniemożliwić naszemu narodowi spokojny, legalny, w granicach ustaw, rozwój. Nieszczęściem Hiszpanji jest to, że przechodzi ona ciągle od dyktatury do rewolucji i od tej znowu do tamtej. *Mamy nadzieję, że tego nie będzie u nas, ale pewności nie mamy. Sądzę, że panowanie „sanacji” skończy się dość prędko, skończy się niestety przez to, że doprowadzi ona państwo do takiego stanu, że będzie musiała, chcąc nie chcąc, odejść. Wszystko za tem przemawia.*

Zadnego polepszenia stanu rzeczy u nas niema i nie widzimy możliwości lepszej przyszłości, przy obecnym systemie.

„Sanacja” się rozkłada. Jest rzeczą charakterystyczną, że protektorzy „Legjonu Młodych” porzucili go, a więc będzie musiał upaść; ale co jest koniecznym to to, że „sanacja” pragnie dalej, na nowo organizować młodzież w wyższych zakładach naukowych i powierzyć to znowu p. Januszowi Jędrzejewiczowi, który już wykazał, że do roli takiej zupełnie się nie nadaje. „Sanacja” nie ma żadnych zasad, nie myśli o przyszłości, pragnie tylko utrzymać się u władzy.

„Przełom” może udawać, że wierzy, iż teraz wejdziemy w okres reform, ale z próżnego nikt nie należy!

W początkach swego istnienia „sanacja” twierdziła, że programy są niepotrzebne, że wystarcza samo nazwisko Piłsudskiego; obecnie dowiadujemy się, że program jest, że tkwi on w ideologii Piłsudskiego; niedługo dowiemy się, że program już został wykonany w ciągu tych ostatnich lat 9 i realizacja jego jest tak świetną, jak nowa „konstytucja”.

## Zadania demokracji w Polsce.

W dniu 17-ym kwietnia b. r. odbyło się w Chorzowie z inicjatywy akademickiej Sekcji Kultury Robotniczej zebranie dyskusyjne, na którym zostały wygłoszone 3 referaty (prelegenci: Zygmunt Felczak, Józef Dubiel i Tomasz Liedtke), omawiające zagadnienia programowe naszego ruchu. W zebraniu brało udział około 60 osób, przeważnie ze sfer śląskiej młodzieży akademickiej i wybitniejszych działaczy Związku Młodzieży Pracującej „Jedność”.

Streszczenie zasadniczej części referatu kol. Felczaka na temat „Zadania demokracji w Polsce” — poniżej zamieszczamy.

Redakcja.

Kol. Felczak na wstępie swego przemówienia stwierdził, że punktem wyjścia nowoczesnej idei demokratycznej jest chrześcijańska doktryna o godności człowieka i że na tej doktrynie opiera się cały światopogląd demokratyczny, którego zręby stanowią wartości: *wolność osobista, poszanowanie godności ludzkiej i szacunek dla pracy.*

Z idei równości wobec Boga, wyrosła — według referenta — idea równości wobec prawa, która znalazła swój wyraz w sławnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela.

Następnie referent omówił przyczyny t. zw. kryzysu demokracji przed wojną i po wojnie, zatrzymując się dłużej na sprawie scharakteryzowania faszyzmów i hitleryzmów. U podstawy tych ruchów leży — według niego — t. zw. *myślenie wojenne*, wyrażające się w przeniesieniu na życie społeczeństw cywilnych form wojska i praw wojny.

1. *Technika militarystyczna w organizowaniu mas* (zasada wodza, hierarchja władz, komenda, ślepe posłuszeństwo wobec władz, terminologja, taktyka).
2. *Cynizm wobec moralności, prawa i etyki.*
3. *Lekceważenie opinji publicznej.*
4. *Pęd do uregulowania wszelkich objawów życia drogą rozkazów i zakazów* — oto, według referenta,

główne znamiona „myślenia wojennego”.

Na tle tej rzeczywistości, jak również przy uwzględnieniu doświadczeń historycznych tak skonkretyzował referent „zadania demokracji w Polsce”, dzieląc te zadania następnie na bliższe i dalsze.

*Do bliższych zaliczył:*

1. Oczyszczenie idei demokratycznej z tego wszystkiego, co w ciągu ostatniego stulecia „prawem kaduka” do niej „przymknęło” i co zaśmieszcza ją. Do śmieci tych zalicza autor m. in. walkę z religją, którą wielu demokratów włącza do zadań demokracji.

2. Wysłunięcie na front wychowania demokratycznego problemu kształcenia charakterów.

3. Przewyciężenie w dobie obecnej naporu „myślenia wojennego” przez wyraźne postawienie hasła (i zrealizowanie go!) „wojsko do koszar!”.

4. Przez pracę oddolną uczynić demokrację własnością mas. (Demokracja przednajoowa upadła, bo nie była wynikiem chęci dołu społecznego, lecz góry. Była filantropją, rzuconą, jak ochłap z pańskiego stołu szerokim masom ludowym, które jej przeważnie nie rozumiały).

5. Zjednoczenie wszystkich żywiołów szczerze demokratycznych.

*Do zadań dalszych*, o których można na serjo mówić dopiero po usunięciu systemu autorytatywnego, należą: zrealizowanie *demokracji społecznej i kulturalnej* przez takie szerokie reformy w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, które umożliwią korzystanie z dobrodziejstw kultury i cywilizacji szerokim masom robotników i chłopów.

„Wciągnięcie w obręb przeżywań kulturalnych — kończył kol. Felczak — polskiego ludu, wyprowadzenie go z ciasnych, mrocznych nor na szerokie gościńce, opromienione radością życia” — oto zadania dalsze, aczkolwiek nie tak dalekie, by o nich już dziś nie myśleć, demokracja — dla których warto pracować i poświęcać się”.

M. N.

### WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie 40 groszy. Kwartalnie 1 złoty. Prenumeratę wpłacać można zapomocą przekazów obrachunkowych (numer kartoteki 14). Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.

Przedstawiciele Redakcji: w Warszawie: Zofja Topolińska, w Krakowie: Józef Dubiel, w Poznaniu: Antoni Bergman, we Lwowie: Władysław Dąbrowski.

### Pismo ukazuje się stale w połowie miesiąca.

Adres Redakcji i Administracji: Toruń, ul. Legionów 29. Oddział w Poznaniu, ul. Wrocławska 14 m. 4.

Wydawca: Zarząd Główny Związku Młodzieży Pracującej „Jedność”. — Redaktor: Zygmunt Felczak, Grudziądz, ul. Małogroblowa 8

Drukiem Drukarni Robotniczej Sp. z o. p. Toruń, Legionów 29.